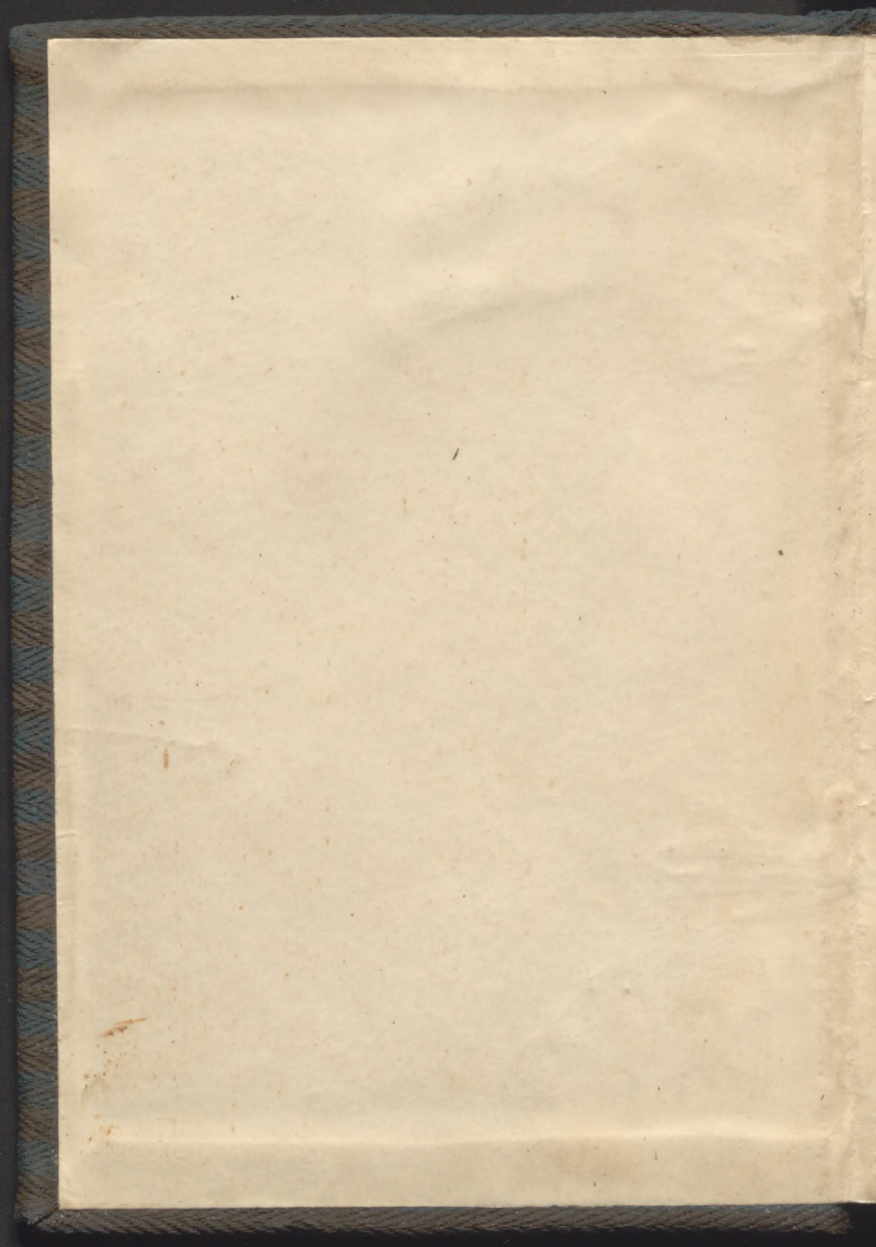
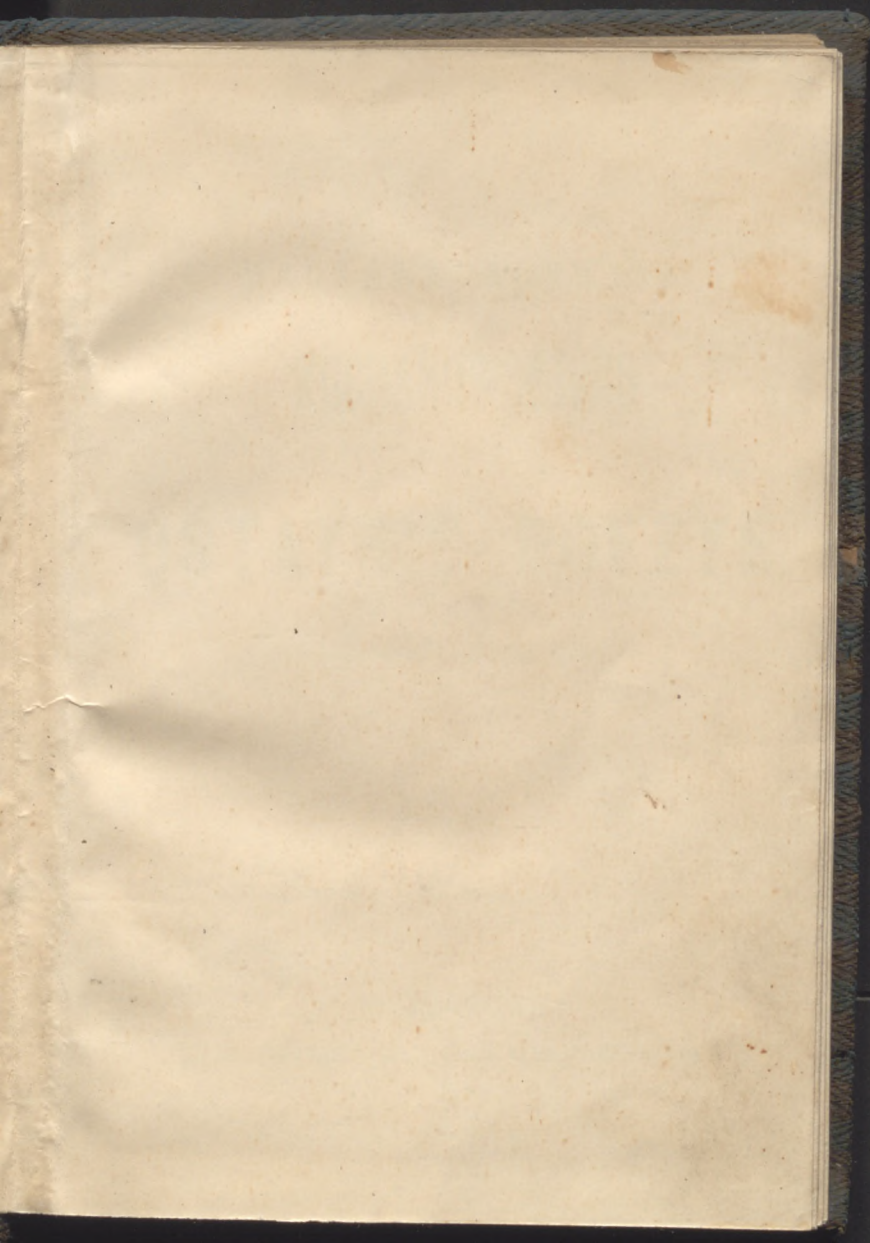


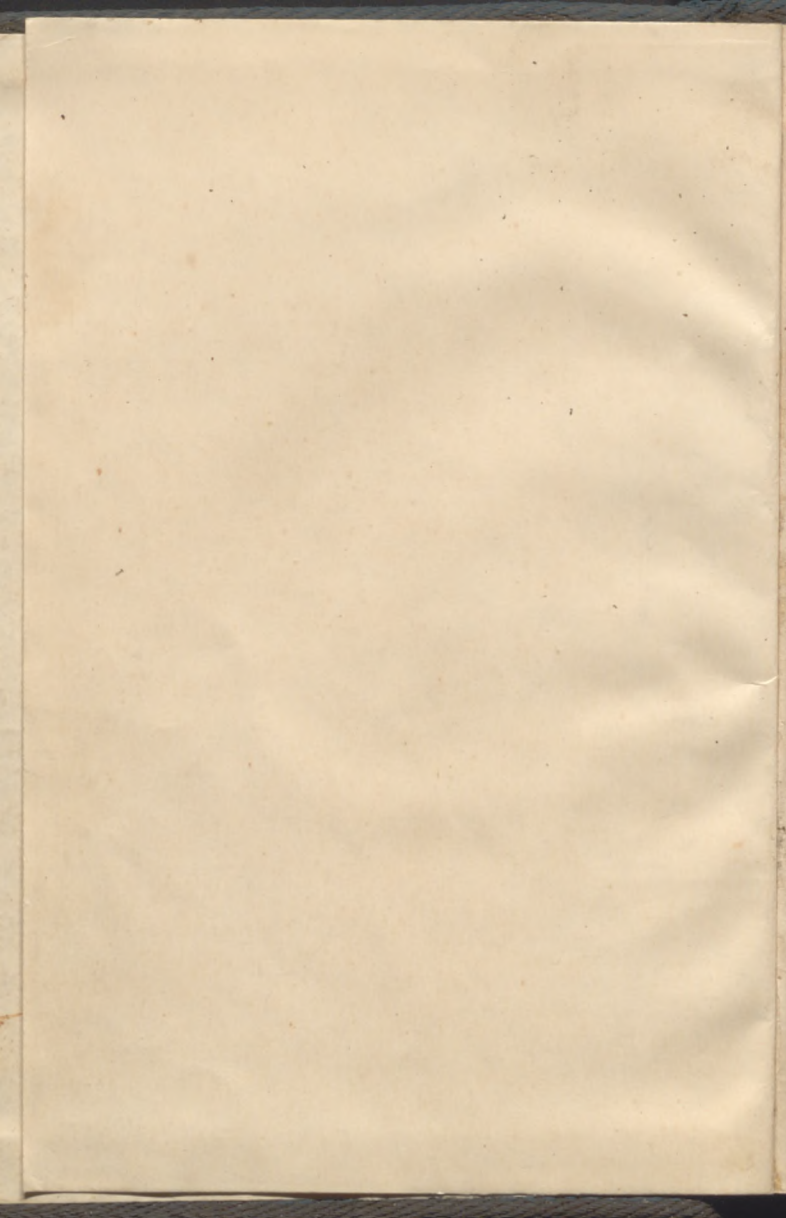


Biblioteka
U. M. K.
Toruń

302625







MARYANA KORWINA
KOCHANOWSKIEGO
OSTATNIE POEZYE,

(WYDANIE POŚMIERTNE).

Samitam Stanhiewicz.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM WŁADYSŁAWA JAWORSKIEGO.

1870.

WYDAWCA WARSZAWA

KOCHANOWSKIEGO

OSTATNIE POEZYE

WYDAWCA WARSZAWA

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
w Toruniu

302625

W Drukarni Władysława Jaworskiego w Krakowie.

K. 2294/58

Handwritten signature or initials

TEOFIŁOWI LENARTOWICZOWI

w dowód

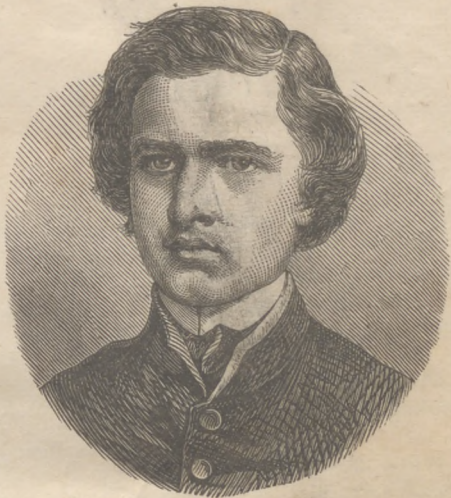
GŁĘBOKIEGO SZACUNKU

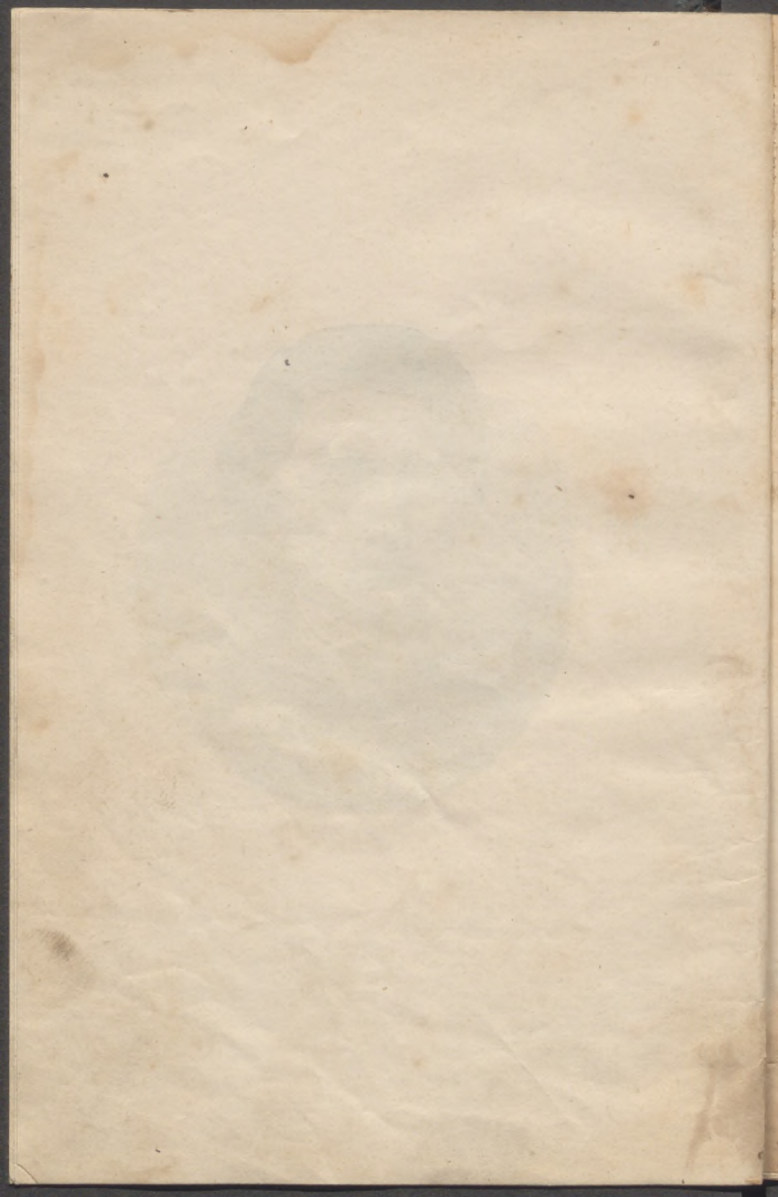
niniejszą skromną pracę poważa się poświęcić

Autor.

. . . . Ale są dusze takiej żałoby,
Żeby w nie patrząc — Bóg smutnym był;
W niej jest grób taki, że wszystkie groby,
Przy nim się zdają drobne, jak pył.

Lublin 1 Czerwca 1866 r.





PRZEDMOWA.

Pomimo młodzieńczego wieku Autora, zdolność tworzenia była tak wielką, że utwory Jego zaledwo by się w mnogich pomieściły tomach. Nie mając sposobności wydania ich, sam je po większój części zniszczył, lub hojnie rozdawał je swym kolegom szkolnym, inne zaginęły. Te, które przechowanemi zostały, i które zebranemi być mogły tworzą niniejszy tomik. Niektóre z nich są tylko w urwkach dochowane, które niestety tém samem piórem dopełnionemi już być nie mogą.

Powtarzając wysoką cześć moją dla Literatury naszej i jój Pisarzy, te kilka z trudnością odzyskanych prób młodocianych, zbyt wczesnie zgasłego śpiewaka, z wielką nieśmiałością i w tymże samym co pierwsze, poważam się wydać celu, szczególniej dla młodzieży i drogich Kolegów Autora.

Z pomiędzy Nich wybrał On jednego i wielkim uochał go uczuciem, co najwymowniej wyrażają tu umieszczone, szczytnój przyjaźni pieśni. Ale niestety dusza Jego i w tém wzniosłem uczuciu srogiego doznała zawodu. Z bo-

leścią więc przyznać trzeba! Biedni ci duchem wybrani,
gdy swe uczucia na téj umieszczają ziemi — one należą
do wyższej Krajny, z kąd ich pochodzi natchnienie, a wtedy
boleśnego zawodu ukłute cierniem wracają do swéj Oj-
czyzny.

K. K.

Lilija i Fuksyja.

przedruk z pisma Lubelskiego 20 Lutego 1866 r.

Plotłem wianek mego życia,
Pełen ciernia, smętny cichy,
Gdym z skromnego raz ukrycia
Uszczknał kwiatków dwa kielichy,
Pierwszy fuksyj barwy krwawej,
Drugi skromny, cudnej woni
Jak iza czystej lilij białej.

Wplotłem oba przy mój skroni,
Przy nich astra, i gwoździka,
I niewinny tuż bławatek
Tulipana i storczyka,
I skromniuchny, modry bratek.

Po niedługiej słyszę chwili
Fuksyja szepcze coś do bratka,
Lecz nie powiem co mówili,
Bo się lękam zemsty kwiatka.
Albo zresztą niech już zginę
Z ręki fuksyj potajemnie
Ale prawdy nie pominię:
Pokochali się wzajemnie.

Krótkie! krótkie szczęścia drogi!
Za dni kilka go niechciała,
Choć z miłości zsechł niebogi;
Sześciu innych pokochała,

Więc wplotłem z mego wianka,
Piękny kwiatek, lecz niestały,

Czy palce słabe, czy ton zepsuty —
 Melodya nędzna — jarmarczna — głucha —
 Jak ton kościelnych dziadów pokuty. —
 Precz lutnio moja — ot ogień płonie —
 W płomieniach trzaska okruch ostatni —
 Z nią pieśni mejj zgon — po tem zgonie —
 Komuż dam uścisk — i uśmiech bratni?

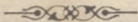
.
 Oto dziewczyna — w ramach hebanu
 Alabastrowe czoło pochyla —
 Z rodu jakiego — z jakiego stanu —
 Z białej lilij i ojca motyla —
 I ona moja! alboż to nie wiem —
 Dla czego płonie, drży nie wesola?
 Dla czego duma w noc pod modrzewiem?
 No piękna pani bądźże wesola,
 Bo ja cię kocham — „i ja cię luby —
 Kocham nad życie“ — i z ocząt strugi
 Lez popłynęły — a na dzień drugi
 Z innym dozgonne łączą ją szluby.
 No rzekłem: zdrowa bądź piękna pani —
 I dalej szedłem

WŁADYSŁAW KORWIN.

Dramat Historyczny.

OSOBY:

- Władysław Korwin Hrabia Huniad.
Franko Szilagi Kapitan Belgradu.
Zofija — Teresa Hr. Namiezas Utissenowicz.
Marta Nadasdi.
Władysław Pogrobowiec król węgierski kr. cz
Ulryk Hr. Cyllejski.
Vossogubaba wróżka czarownica.
Pachołcy więzienni
Rycerze — Giermkowie.
Paż Władysława.
Maciej brat Władysława.
Kat.



AKT I.

SCENA I.

Sala w zamku Zofij Teressy. Z prawej strony drzwi do przedsienia — z lewej na taras. Zofija haftuje na kanwie — Marta siedzi przy niej na podnóżku — nawleka paciorki.

ZOFIJA.

Jakaż to szkoda że ojciec mi kazał,
Bym weszła w związki małżeńskie z hetmanem,
By nasz ród zacny, płochym się nie zmazał;
Dziś już byłabym żoną Władysława,
Pięknego męża — i wielkiego Pana,
Lecz choć mu oręż uwieńczyła sława
Nie dostał jeszcze buławy hetmana —
I czekać muszę — — Marto czyś kochała
Kiedy mężczyzną?.....

MARTA (z uśmiechem).

O! już razy wiele!....

ZOFIJA.

A czemuś dotąd za mąż pójść nie chciała?

MARTA.

Za nim kwiat zerwę niech chwasty wypiełą
By się z kwiatami zielsko nie zmięszalo.
Jestem tak młoda, długo czekać mogę.
Było już wielu, co się żenić chciało,
Każdy z nich nosił pióro lub ostrogę,
Lecz co mi po tem — pragnę czegoś więcej;
Wszak los kapryśny różne figle płata,
Za to żem tyle miedzianych pieniędzy

Precz odrzuciła — może da dukata.
 Może się znajdzie jaki młodzian hoży,
 Co przy ostrogach nosi płaszcz z purpury,
 Płaszcz wraz z sercem u nóg moich złoży,
 Czemu? nie — czekam — woda płynie z chmury
 Może z chmur z wodą przyplynie mój miły.
 Bo pójsć lada jak, za pierwszego chłystka,
 Byle się przy nim ostrogi świeciły,
 Chyba nie warto — któż na tém co zyska?..

ZOFIJA.

Różnim się bardzo, — ty szukasz pieniędzy,
 Ja szukam serca — i znalazłam przecie.
 Prawda że długo szukałam pomiędzy
 Ludźmi — bo jedno wynajdziesz na świecie
 Serce, co kochasz i co Cię pokocha —
 Tak — jedno tylko — ale co za szczęście,
 Za łez tych trocha, i za cierpień trocha,
 Gdy Cię z tém sercem połączy zameźcie —
 Złączy na wieki

MARTA.

E! wierzaj mi Pani,
 Cierń życia prędko twoje szczęście zrani,
 Serce uwiednie — i na dnie kielicha,
 Z którego wiecznie roskosz płynąć miała,
 Zostaną męty — a miłość wysycha
 Co raz to bardziej — i piołun wyrośnie
 Tam, gdzie go żadna ręka nie posiała.
 A jeszcze kiedy nędza swą twarz bladą
 Z pośród piołunów wysunie powoli,
 Jużes przebrzmiała miłośna ballado,
 Jak śpiew skowronka na zasłanej roli
 Śniegiem i szronem!... Choć miłości nie ma,

A są dostatki, — znajdują się roskosze —
 Przy złotój arfie piękniej serce śpiewa
 Jak przy drewnianej — ja tak zawsze wnoszę...
 Czy prawda Pani?....

ZOFIJA.

Nie wiem, moja miła:
 Ale dla czego to miłości kwiaty,
 Gdy ręka Boga w ślubny je uwiła
 Wianek kobiecie — prędko zwiędnąć mają.
 Wszakże pod progiem najuboższej chaty,
 One się rodzą — owoce wydają —
 I często całą osłodą nędzarza
 Jest serce żony, lub szczebiot dziecięcia?....
 Zaiste lepiej jeżeli się zdarza
 Zamiast rycerza wybierać książęcia;
 Lecz kalać serce i rzucać go w błoto
 Za płochy tytuł — za płaszcz purpurowy,
 Porzucić miłość — a ucisnąć złoto —
 To trzeba nie mieć, ni serca ni głowy!....

(z drzwi prawych wchodzi Vossogubaba
 i staje na środku sali)

Patrz Marto, Marto! co to za kobieta
 Czego chce tutaj?....

(Marta przelekniona powstaje i zakrywa
 sobą Zofiję).

SCENA II.

VOSSOGUBABA.

Krzty chleba i soli,
 Wszakże gościnność to Panów zaleta,
 Czyż Pani zamku spocząć nie dozwoli,

Na jedną chwilę staruszce ubogiej —
Biednej kalece?....

ZOFIJA (zmieszana)

Wybacz — siadaj proszę —
Jam się przelekła twojej twarzy srogiej,
Plugawej sukni; — lecz staruszko biedna
Ja Ci nagrodzę — dam chleba i grosze,
Powiedz mi tylko co jesteś za jedna —
Z kąd idziesz — dokąd — daleką masz drogę —
Jeszcze przed sobą — czem Cię wesprzeć mogę?

VOSSOGUBABA (opiera się na kiju i mówi powoli)

Z kąd idę? pytasz — powracam ze świata —
Idę w świat — dalej — tak do końca życia,
Niebo to dach mój — las to moja chata,
Światło i ciepło — błysk i gromów bicia.

ZOFIJA (z współzuciem)

O biedna — biedna!....

VOSSOGUBABA (z ironią)

Nie! jestem bogata —
Posiadam wszystko, nie mi nie potrzeba,
Nigdy o litość nie prosiłam świata,
Nigdy o litość nie prosiłam Nieba.
W lecie gdy dziennym upałem strudzona,
Gdy krew wysycha, i serce nie bije,
Siadam pod drzewem głodna i spragniona,
I z wonnych kwiatów rosy się napiję.
Potém korzonek wyrwam jałowy,
Winną jagodę, a jeśli za mało,
Objadam z liśmi krzaczek malinowy,
I tym pokarmem krzepię moje ciało.

A jestem ślepa — wyplakałam oczy,
 Pod powiekami ogień się nie żarzy,
 I tylko czasem kropla krwi się z toczy,
 Ze źrenic moich i przyschnie na twarzy,
 W zimie pod śniegiem nie znajdę jagody,
 Nie znajdę rosy, a więc się napiję,
 Jedną kropelkę zamarznętej wody,
 A gdy mi zimno liściem się okryję,
 I nigdy ludziom nie świecę nagotą,
 By nędzą jawną żebrać ich litości,
 Jam worek złota, bo jak w worku złoto,
 Tak w ciele moim chrzęszczą stare kości:
 Od lat dziesięciu nie widziałem ziemi,
 Nic co nad światem, ani co na świecie —
 Jak żmija pelzam pomiędzy węzami,
 A czemu słuchaj

MARTA.

Co ta stara plecie?....

VOSSOGUBABA.

Widzisz panienko — tyś jest jeszcze młoda,
 I piękna bardzo — ale nie wiesz jeszcze,
 Że z płaczu wyschnie z twój twarzy jagoda,
 I na niej tylko zeschnła zwiędła skóra,
 Jak pergaminu zwój smętnie szeleszcze.
 A czy wiesz czemu, Ewy piękna córa
 Najczęściej płacze? za kochankiem swoim —
 Gdy ją pokocha, a potem porzuci —
 I inne serce zwiąże z sercem swoim.
 Powiem ci powieść — może cię zasmuci
 Lecz słuchaj. (mówi prędko jakby w obląkaniu)

Dawno — o dawno! już temu,
 Pół wieku prawie zbiegło od téj pory,

Piękna dziewczyna kochankowi swemu
 Przysięgła miłość — i on przysięgł wzajem.
 Co dnia wieczorem wiedli rozhowory
 W pięknej dolinie, w górach nad Dunajem,
 Dziewka mówiła, kocham Cię mój Janie,
 Jan mówił — kocham — kocham, piękna, Ciebie,
 I Dunaj słyszał miłośne szeptanie —
 A kto wie może Bóg go słyszał w Niebie,
 Jak czułe było i pełne roskoszy

(po przestanku mówi wolniej ponuro).

I raz Jan przyszedł i mówił dziewczynie:
 Muszę iść walczyć przeciwko Wołoszy,
 Czy też zapłaczesz, jeśli Jan twój zginie,
 Czy nie zapomnisz — gdy zdrowo powróci?....
 A dziewczę we łzach tonęło, i mówi:
 „Elia was nigdy — nigdy nie porzuci!....
 Wracajcie rychło — a wracajcie zdrowi“
 Pojechał. — Zyskał laury, i sławę,
 Miecz wielkorządecy — choć w młodości kwiecie,
 Cześć u potomnych, hetmańską buławę,
 Imię się jego rozległo po świecie.

(jeszcze wolniej mówi — cicho — jakby sama do siebie)

Minał rok jeden nad dziewczyny chatką,
 Pusto i głucho. Hrabia nie powraca,
 A ona biedna została już matką,
 Rada dziecięciu pokazać rodzica.
 Gdy dnia jednego człowiek jakiś wchodzi,
 W próg cichój chaty — i mówi dziewczynie,
 Jan się ożenił, dziś ślub swój obchodzi —
 Uczty godowe wyprawia w Semlinie
 Dziewczyna milcząc słuchała nowiny,
 Była jak martwa — albo skamieniała,
 Wybiegła z chaty i gdzie Dunaj siny,

Toczy swe nurty, stanęła — zadrżała —
 W nurtach grób dla niej.... gdy nagle w jęć łonie,
 Jakby w najgłębszej piekielnej otchłanie,
 Ozwał się szatan, ten sam, co przy skonie
 Sumienia, jak stróż wierny grobu stanie:
 „Zemsta!“ dziewczę cofnęło się z brzegu
 Bezdennęj wody — po górach i skałach
 Biegła jak sarna — a ciągle w swém biegu,
 W jodłowych lasach — i na morskich wałach
 „Zemsta“ — słyszała: Wróciła do chaty,
 Klękła i w duszy przysięgę złożyła
 Pokładłszy palce na bukietu kwiaty
 Któren dla Niego rankiem dziś uwiła,
 Zemścić się. — Po tém małe dziecko swoje,
 Nie swoje, jego — rzuciła do wody,
 Bo zemsta piekło! wypali Ci twoje
 Uczucia serca, spopieli choć lody;
 Wszystko ci wydrze — i jak duch wyklęty,
 Co nocą ciemną na grobach ulata
 Sobie nie miły — ludziom nie pojęty,
 Błąkać się będziesz wśród świata!....
 Zemsta krew wysie — i ciało od kości,
 Szponem zatrutym, żmii — węża jadem,
 Wydrze — a skórę wypcha zbiorem złości,
 Że będziesz niczém — tylko (cicho) podłym gadem!...
 Takiem to życiem długo dziewczę żyło —
 Bo lat pięćdziesiąt — aż nadeszła pora
 Zemsty — I Jana swojego zabiła
 Niedawno — (na stronie niby do siebie) niedawno, bo wczora.
 I nie zostało nic — oprócz krwi śladów —
 Co ślnią zaskrzepłe, jakby ślepie gadów

ZOFIJA.

Staruszko — smutna jest twoja balada —

VOSSOGUBABA.

Smutna — wiesz czemu? — bo prawdę powiada....
 Ha! prawdę — prawdę! i ja byłam młodą,
 I piękną byłam — i ludziom świeciłam,
 Jak gwiazda w nocy młodością, urodą,
 Byłam kochaną, i miłością żyłam:
 Miłość zgasiła moich ócz płomienie,
 I życie w piersi, i krasę z méj twarzy
 Starła — jak robak stoczyła sumienie,
 Że dzisiaj — tylko już o zemście marzy

(chwila milczenia, kładzie kostur — i zbliża się do Zofij)

Daj mi swą rękę Pani, a z téj dłoni,
 Wyczytam przyszłość — chociaż jestem ślepa,
 Mózgu mam jeszcze nieco w mojej skroni,
 A i ten w krótkce przyschnie do czerepa —
 Dajcie mi rękę — (Zofija podaje) bliżej, bliżej trochę...
 (prowadzi palcem po dłoni)

Szczęśliwaś pani — król ciebie pokocha!....

ZOFIJA (usuwa rękę)

O! ja takiego nie pożądam szczęścia!...

VOSSOGUBABA.

Jakto nie zechcesz z koroną zamężcia? —

ZOFIJA.

Nie!....

VOSSOGUBABA.

To źle Hrabino — król to Bóg na ziemi.

ZOFIJA.

Dla mnie jest niczém

SCENA III.

Władysław wchodzi z drzwi prawych — Vossogubaba wychodzi lewemi — Murta usuwa się w głąb sceny. Zofija pozostaje.

WŁADYSŁAW (zbliża się do Zofij i całuje Jój rękę)

Zofijo! nareszcie przybywam do Ciebie,
Długo — tak długo bawiłem z obcemi,
Nie stało czasu — ale dziś jam w Niebie —
Kocham Cię — Pani możeś zapomniała
O Władysławie? — Już dawno niestety,
Dawno już temu jakieś mnie kochała,
A zmienne, zmienne jest serce kobiety!....

ZOFIJA.

Zawsze Cię kocham!....

WŁADYSŁAW.

O! Dzięki Ci Pani?...

Niezbyt to dawno — jakem pod sztandary
Wojenne, gromić Turki i Tatary
Wyjechał. Przecie każdy dzień, godzina,
Wiekim mi była, i tylko jedyna
Myśl, że Cię kiedyś ujrzę i buławę,
Krwia okupioną, u stóp twoich złożę
Że ona szlubne ustroi mi łoże —
Mnie pocieszała. I oto kochana
Zofijo moja — o to krwawe znamie
Które orężem zdobyło me ramie,
U stóp twych kładę, buławę hetmana!....

(kładzie buławę u nóg Zofij.)

ZOFIJA (radośnie)

Jesteś hetmanem! o dzięki Ci Boże!...

Ja co dzień o to Świętego Stefana
 Kiedy wieczorem kładłam się na łożo,
 Prosiłam by Ci dał godność hetmana.
 Więc mogę wręcić oddać Ci mą rękę,
 Bo serce dawno, dawno już oddałam,
 Nawet już ślubną sprawiłam sukienkę,
 Bo ciągle o niej — o tobie myślałam.....
 Jutro

WŁADYSŁAW (smutnie)

Patrz Zofijo jedyna,
 Na piersiach moich czarna szarfa świeci —
 Oto w tej chwili powracam z Semlina,
 Gdzie wczoraj — w nocy, ojciec mój dokonał,
 Bohaterskiego życia — i my dzieci
 Jego — przy łożu przysięgli gdy skołał —
 Nosić żałobę przez roku połowę —
 Ślub więc nasz jeszcze odłożyć wypada.

ZOFIJA.

Znowu więc czekać! — ach! już tracę głowę
 Serce obsiadły czarnych myśli stada,
 Wiesz Władysławie jakie moje życie
 Było bez Ciebie?.... to jedna katusza
 Siedziałam niema, tylko serca bicie
 Mówiło do mnie boleśnie, że dusza
 Nie zmarła jeszcze — przez te wszystkie chwile,
 Ciągle mówiłam, myślałam o tobie,
 I gdy nareście za utrapień tyle
 Błysła nadzieja — kłaść ją znowu w grobie
 Przyszłości

MARTA (na stronie)

Jaka ona samolubna

On ojca stracił, a ona tak płocha
 Więcej obchodzi ją dziś suknia ślubna
 A jednak mówi, że go kocha —
 A Hrabia wierzy

WŁADYSŁAW.

A ja Zofijo moja
 Żyłem inaczej? Spytaj ludzi, Boga,
 Ciągłe w mém sercu żyła postać twoja,
 W mych ustach słowa: kocham Ciebie droga!
 Jak lew walczyłem — byle raz buławę
 Zdobyć — i tytuł a z nim rękę twoją —
 Rzuciłem wieńce, laury i sławę,
 A biegłem prędkiej witać Zofiję — moją.
 A czy wiesz Zofijo czem jest dla mężczyzny
 Sława, potęga — drobny chwały wieniec!
 Walczysz o niego do białej siwizny
 Zaczynasz — jesteś drobniuchny młodzieniec.
 Jam ją dla Ciebie porzucił jedyna,
 Bo ja Cię kocham nad sławę, nad życie
 Powiedz że teraz moja li w tém wino
 Że umarł ojciec?

ZOFIJA (przykłada rękę do serca)

Słyszysz serca bicie
 Ono Ci powie co myślę i pieszczę
 W głowie i piersi

WŁADYSŁAW.

To są głosy wieszczce,
 Powiedzą prawdę! Zofijo bądź mi zdrowa,
 Ja śpiesznie muszę wracać do Belgradu,
 Bo nań Tatarów tłuszcza wpaść gotowa —
 Która podobna żarłocznemu stadu

Ptastwa — zagony w kraju rozpościera,
 Zdobywa zamki i miasta zabiera;
 Wiedząc o śmierci mojego rodzica,
 Który sam jeden zwalczyć ich potrafił —
 Gdy obumarła waleczna prawica,
 Musi ją wesprzeć ten, komu zostawił
 Po sobie godność wielkiego hetmana.
 Ja, — gdy znowu wsławię się orężem,
 Minie żałoba i znowu przyniosę
 Nowe zasługi — będę —

ZOFIJA.

Moim mężem

A ja Świętego Stefana uproszę,
 Że wrócisz zdrowo — a teraz na drogę,
 Byś nie zapominał coś tutaj zostawił
 Daję wspominek jaki dać Ci mogę —
 (daje mu szarfę którą haftowała)

Szarfę rycerską, którą błogosławił
 Wielki Kardynał — niech Ci przypomina
 Ten pas jedwabny, że go na pancerzu
 Z modlitwą szczerą zwiesiła dziewczyna —
 Która Cię kocha, kocha Cię rycerzu.

GIERMEK (wchodzi)

Król!..... (Zofija powstaje Marta wybiega w drzwi lewe)

WŁADYSŁAW.

Co? król tutaj? zapewne na łowy
 Wyjechał — przyjmij że naszego pana
 Gościnnie Zofijo — On z miłemi słowy
 Żalu po Ojcu oddał mi hetmana
 Dostojność — ale widzieć go nie mogę,
 Bo miałem rozkaz nie opuszczać wojny,

I bram Belgradu jadę; więc w mą drogę,
Przyjmij go dobrze Zofijo —

ZOFIJA (postępuje ku drzwiom, Władysław za nią)

Bądź spokojny!.... (wychodzą.)

SCENA IV

*Wossogubaba i Marta wchodzi; pierwsza z lewej druga
z prawej strony.*

MARTA.

Stara — widziałam jak wróżyłaś z dłoni
Mój pani przyszłość — więc nie obce tobie
Przyszłości tajnic — życzyłabym sobie,
Wiedzieć — czy szczęście odemnie nie stroni,
Radość czy smutek?....

VOSSOGUBABA (bierze ją za rękę)

(cicho) I jedno i drugie

(głośno) Będiesz bogatą, szczęśliwą, kochaną!...
(na stronie) A potem — czeka nędzy życie długie,
Umrzesz na garści słomy, zapomnianą

MARTA (prędko)

Bogatą będę?!... nie wierzę Ci stara,
Z każdej bogatą? złotem deszcz nie sieje,
A chociaż we śnie pieszczą mnie nadzieje,
To przecież mówią sen mara

VOSSOGUBABA.

Ja cię bogatą zrobię — dziś i potem,
Tylko wykonać musisz me rozkazy

MARTA.

Bogata! mówisz? — obsypiesz mnie złotem?
Zrobię co każesz, nie raz lecz sto razy

VOSSOGUBABA (dobywa worek)

Tu jest majątek wielki — patrzaj — co to
Błyszczy we worku jak ślepie węzowe
I jasno świeci — to cenne, i nowe,
Ważne dukaty — prawda?

MARTA (chciwie)

Złoto — złoto! . . .

VOSSOGUBABA.

Dla ciebie żli — je . . . (dobywa flaszeczkę)

Dzisiaj gdy godzina

Dwunasta, w nocy na niebie zatlaje —

Kiedy już do snu iść będzie Hrabina,

Twa dłoń ręka z téj flaszki — dwie krople naleje

W napój

MARTA (odsuwa się, potem zbliża znowu)

Trucizna!

VOSSOGUBABA.

Nie — nie śmierć, kobieto,

Sen tylko ona sprawia — no czy zgoda,

Wybieraj — flaszkę, nędzę — albo złoto

MARTA.

Sen mówisz tylko — ha! Marta jój poda

(prędko) Sen — daj naleję — i zaśnie Hrabina,

Kiedy dwunasta uderzy godzina

(słychać głos wołający Martę)

VOSOGUBABA.

(oddaje jój flaszkę i worek)

Gdybyś zdradziła — kto za nadto gada —

MARTA (prędko)

Zrobię — mnie — pani woła! — (wybiega)

VOSOGUBABA.

Wtedy biada!

SCENA V.

VOSOGUBABA (zostaje sama chwilę przechodzi wolno
po scenie potem staje na środku)

Noc że to jeszcze — ha dla mnie noc wiecznie!...
Nie ujrzę słońca ni porannej zorzy
Może tak słońce, jak zorza bezpiecznie
Zagasnąć dla mnie... Światło nie otworzy,
Zamarłych źrenic — chyba na powiece
Skrzeplój krwi krople swem ogniem wypali —
Które dzień po dniu palą mnie jak świece,
Jak lubo dotknięcie rozpalonej stali —
A nie ma w oku łzy, co by zgasiła
Ogień krwi skrzeplój — lza dawniej świeciła,
Dziś błyszczy w oku krew, krew z sukni płynie —
Dni temu cztery — ja byłam w Semlinie,
Widziałam jego okiem mojej duszy,
Był sam — na łożu, umierał z choroby,
Konał — widziałam dobrze, że śmierć skruszy
To ciało — za nim upłynie pół doby —
Przyszłam do łoża — a on wzrok swój lżawy
Obrócił na mnie — zadrżał — i westchnienie
Rozdarło piersi — znać że robak krwawy,

Piekielnym zębem toczył już sumienie.
 Elio! zawołał — przebacz! i za szatę
 Plugawą chwycił — i do serca cisnął —
 Ja w odpowiedzi przebiegłam komnatę
 I nóż — nóż nagi w dłoni mojej błysnął —
 On go nie widział — skryłam pod makaty,
 Uklekłam — mówię: — pół wieku już mija
 Jak niegdyś w progi ubożuchnej chaty,
 Tyś skrywszy żądło — wsunął się jak żmija
 Uwiódł dziewczynę kłamliwemi słowy,
 Uwiódł, porzucił jak owoc jałowy,
 Gdy zeń już słodycz do kropli wypieś. —
 Czemuś porzucił? — bo wielkiego pana,
 Jak król możnego — hrabiego hetmana,
 Inne piękniejsze czekały nadzieje —
 Piękne nadzieje tajemnie ukryłeś,
 I gdym ja we łzach tonęła za tobą —
 Hetman na łonie swój żony się śmieje
 Z kochanki biednej ... O! nawet i gady,
 Które nie zwykły być cnoty ozdobą
 Więcej czci mają hrabio Huniady —
 Patrz piękną byłam — dziś — upiór grobowy,
 Co na cmentarzu przestrasza w noc ciemną,
 Przestraszam ludzi — méj sukni i mowy
 Boją się ludzie — i człowiek przedemną
 Jako przed gadem do chaty ucieka —
 Czyjaż to sprawa — jednego człowieka
 Twoja Hunyady! O już od lat wielu,
 Umrzeć powinnam — ale żyję jeszcze
 I w duszy wielką, wielką przyszłość pieszcze,
 Wiesz-li jaka to przyszłość przyjacielu?....
 Zemsta!... powstałam — i wzięłam nóż w dłońie
 I utopiłam go w kochanka łonie

(przestaje chwile — zamysła się)

I krew trysnęła — i dwie jej kropelki
 Upadły na twarz i na moje szaty,
 Pała mnie ogniem — i chociaż tak wielki
 Czas już upływa — one jak szkarłaty
 Ciągłe się świecą — bo niedokonane
 Dzieło méj zemsty — ale ktoś nadchodzi.

(przysłuchuje się — król wchodzi)

Słyszę chód — kroki — one mi są znane —
 To król — a! samo piekło go przywodzi.

SCENA VI.

*Król zamyślony wchodzi — spostrzega Vossogubabę która postępuje
 kilka kroków na przeciw Niego.*

KRÓL (cofa się)

Co to za wiedźma!...

VOSSOGUBABA (z przymileniem)

Nie lękaj się panie —
 Starój kobiety —

KRÓL (niecierpliwie)

Czy masz jaką prośbę —
 Mówże ją prędko — pókim słuchać w stanie.

VOSSOGUBABA.

Królu — ni prośbę nie powiem ni groźbę —
 Ale zapytam — wszak miła gościna
 W zamku Namieżów zwłaszcza kiedy gody
 Wyprawia piękna i młoda hrabina.
 Ha — ona piękna — a król!...

KRÓL.

A Król?

VOSSOGUBABA.

Młody

KRÓL (zdziwiony)

Zgaduje myśli moje ta kobieta —

VOSSOGUBABA (z ironią)

Kochanków myśli zgadnąć nie zaleta

Hrabina — piękna jakby ubóstwienie —

Przytém kobieta — na wszystko pozwoli —

Wszakże kobietę wiódł na pokuszenie

Szatan Adama

KRÓL.

Zkądże ta opieka

Twoja nademną (przygląda się) Czy ty jesteś słaba

Że krwią zbroczona oezu twych powieka?

Powiedz kto jesteś? —

VOSSOGUBABA (spokojnie)

Vossogubaba!

KRÓL (zdziwiony)

Ty! ?

VOSSOGUBABA (dobywa pierścień z za sukni)

Ja królu — patrzaj oto pierścień złoty,

Niegdyś on zdobił królewską koronę,

I królewskiego skarbcza on klejnoty

Zdobił — a za to że królewską żonę —

Matkę od śmierci twoją — ochraniała

Jedna kobieta — a więc tę kobietę
 Wynagrodziła królowa wspaniała
 Pierścieniem złotym; i aby zaletę,
 Większą miał jeszcze — te wyrzekła słowa:
 „Nie tylko dzieciom, ale wnukom moim,
 Prawnukom nawet przykazać gotowa,
 Aby ujrzawszy ten pierścień na twoim
 Palcu — twym prośbom uczynili zadość,
 Byś nigdy smutku, zawsze miała radość“....
 Czy prawda królu? —

KRÓL.

Prawda —

VOSSOGUBABA.

A więc Panie

Powiedz — wszak miłe obecne mieszkanie —
 Kochasz Zofiją — lecz tak jak król kocha
 Młodą kobietę, dla chwili rozkoszy;
 Królewska miłość powinna być płocha —
 Gdy szął ją rodzi — niech szął ją rozproszy —
 Kochasz więc.....

KRÓL (z zapalem)

Kocham kiedyś już odgadła,
 Tajniki serca, i myśli pieśczone
 Aż w sercu — z serca tajemnie wykradła —
 Powiem Ci kocham Hrabinię — lecz ona
 Odrzuci serce — odrzuci koronę
 Kocha Hunyada — jego ma być żoną —

VOSSOGUBABA.

Chcesz by nie była?...

KRÓL.

Ty się pytasz o to,
Daj tylko radę — a ja ci w nagrodę
Dam mój korony, wszystko, wszystko złoto,
Bo nie wiesz jak to kocha serce młode.

VOSSOGUBABA.

Lecz ty wiesz pewnie że przy śmierci pana
Namiezas, ojca Zofij — on przykazał
By córka poszła tylko za hetmana,
Aby ród jego płochym się nie zmazał....
I choćby kto miał dostatki i sławę
Na polu bitwy zdobytą orężem
Jeśli nie Hetman — nie będzie jej mężem. —
Weź Hunyadowi hetmańską buławę,
A on się z Zofiją nigdy nie ożeni.

KRÓL (namyśla się)

A! dobrze mówisz — pójdę za twą radą,
Lecz Zofija, mówią, bardzo jego ceni —
A serce trudno będzie osiąść zdradą!....

VOSSOGUBABA.

Lecz ciało łatwo; — kobieta się zmieni
Kiedy jej ciało wezmą i człowieka,
Który je zdobył — często miłość czeka.

KRÓL.

Czy mi pomożesz?...

VOSSOGUBABA.

Z chęcią. Gdy z północy
Gwiazda zatleje — weź leciuchne szaty,

Oblej wonnością — złotem — abyś w nocy
 Świecił się — i przyjedź tu do téj komnaty
 Sam — lecz pamiętaj buławę hetmana
 Wziąć Hunyadowi — (na stronie)
 Zemsta prawie dokonana!...

(wychodzi)

SCENA VII.

*Z drzwi prawych wchodzi Utryk, Hr. Cyllejski — oddaje
 głęboki pokłon królowi.*

KRÓL.

W sam czas przychodzisz Hrabio; z ważnemi nowiny,
 Pojedziesz do Belgradu — (siada i pisze) droga dobrze znana,
 A za trud jaki z mojej poniesiesz przyczyny,
 W nagrodę weźmiesz buławę hetmana.

(oddaje mu papiery)

ULRYK.

Wszak ją ma Hunyady a trudno nam przecie
 Wziąć mu ją przyjdzie teraz; zamknięty w Belgradzie,
 Lud czci go — kocha swego zbawcy dziecię,
 I straż mu służy nie tylko w paradzie —
 Może się oprzeć!...

KRÓL (dumnie podnosi głowę)

Mnie się oprzeć panie?...

Królowi swemu — a kat? szubienica?!...

Za zbrodnię, którą król ukarać w stanie —

Kat weźmie szczypce — on zgaśnie jak świeca....

ULRYK.

Lecz panie — z jakiej wzięść mu ją przyczyny?
 Gdzie znaleźć powód nielaski i kary
 Na Władysławie trudno znaleźć winy?
 A bez niej jak tu niesie zwyczaj stary,
 Hetman — osoba święta —

KRÓL (jeszcze dumniej)

Nie dla króla przecie —
 Ja każę — dosyć! żegnam Cię mój panie,
 Idź i rób swoje.... żegnam.... (wychodzi)

ULRYK (z uśmiechem)

Jak głupio na świecie
 Rządzą się ludzie — czy też nie są w stanie
 Być stróżmi praw swych — a tylko sędziami
 Stanowią królów — niestety (wzrusza ramionami) toć oni
 Żaden nie tylko, że praw tych nie broni,
 Lecz miasto stróżów stają się katami!...
 Dla mnie tém lepiiej — i ja jestem dumny —
 Może nie długo sięgnę po korony,
 I mnie hetmana lechce tytuł szumny,
 Po cóż mam bronić przeciwnika strony!
 On raz w potyczce obronił mi życie —
 Głupi — prawdziwie głupia krew Korwina —
 Ja to mu dług ten zapłacę sownie
 Mądrze — buławę wezmę — (śmieje się)
 ha nie moja wina!....

Król kazał.... (mówi prędko z extazą)
 O! jasna dla mnie mój przyszłości droga,
 Tam ją buduję — biada temu — biada!
 Kto na niej stanie; — umarły nie gada —
 Umrze — trucizną — bo życia nie waże

Na głupiej szali — nigdy nie narażę
 Na śmierć — a zrobię swoje choć bym otruć musiał
 Samego Boga!.....

(wychodzi prędko)

Kurtyna zapada.

Koniec Aktu I.

AKT II.

*Sala rycerska w zamku Belgradzkim — na środku stoją Władysław
 i Franko Szilagi — wprost sceny widać drzwi, za niemi słychać gwar
 licznych głosów i muzykę — rycerstwo tam gra w kości.*

SCENA I.

WŁADYSŁAW (stoi oparty na szabli)

Jakże powoli zda mi się czas bieży —
 Kto oczekuje temu zawsze długi,
 Nudzę się w gronie wesółych rycerzy,
 Stokroć smutniejszy od nędznego sługi
 Jestem!....

FRANKO (z uśmiechem)

Bo kochasz.

WŁADYSŁAW.

Tak i mam nadzieję
 Przyszłego szczęścia — O! przyszłość się śmieje
 Do mnie uroczo! Byle czas żaloby
 Najprędzej przebyć wyjeżdżam z Belgradu
 Zwiedzę w Semlinie ojców moich groby
 I.....

FRANKO (niecierpliwie)

Zaślubisz Zofiję i wejdiesz do sadu
Rozkoszy, zaśniesz uroczo wśród kwiatów....

WŁADYSŁAW.

Tak Franko będę najszcześliwszy z ludzi
Bo kocham Zofiję — i gdyby mi światów
Berło dawano.....

FRANKO (przerywa mu)

Śnij — śnij! aż cię zbudzi

Rzeczywistości lodowa prawica —
Ugasi pożar i płomień zgasną
Twojego serca — jak spalona świeca.
Nie zawsze błogo tym co w kwiatkach zasną,
Bo często bardzo do pięknego sadu
Między urocze, i kwiaty i gaje;
Wślizną się brudne zimne piersi gada,
I pod tą piersią serce bić przestaje —
A znak to śmierci....

WŁADYSŁAW.

Tyś zawsze jednaki —
Nie wierzysz w szczęście prawdziwej miłości —
Czytasz na gwiazdach — czyż niebieskie znaki
Wlewają w serce twoje tyle złości
Dla ludzi — świata?...

FRANKO.

Ja ludziom i światu
Wierzyłem zawsze — Nie wierzę kobiecie,
Powiedz — czy kiedy dotknąłeś się kwiatu
Choć piękniejszego nie znalazłbyś w świecie

Gdy ci powiedzą że to kwiat zatruty?
 Prawda że nigdy?... A ty przyszłość swoją
 I wianek życia misternie ukuty,
 W ręce kobiety.....

WŁADYSŁAW (przerywając)

I nie tylko moją
 Przyszłość oddałem, ale życie całe!
 Bom pewny serca, to jest kwiat czystości
 I żadna plamka na jój listki białe
 Grzechu nie spadnie — teraz — ni w przyszłości!...

FRANKO.

Weź więc wrzeczono — a porzuć ostrogi,
 Idź praść z hrabiną motki na ornaty
 Do jój kaplicy — a bojowe rogi
 Zmień na fujarkę — i rycerskie szaty
 Na długą suknię z białego atlasu;
 Szyszak na czepek.....

WŁADYSŁAW.

Franko — co to znaczy?...

FRANKO.

Poczekaj chwilę, za nim ręka czasu
 Tę smutną prawdę jasno wytłomaczy,
 Ja ci ją powiem. Gdyś przed sześciami laty,
 Pierwszy raz stanął pod chorągwie nasze,
 Czyściuchne były serca twego szaty,
 I wolny byleś niby leśne ptasze.
 Bileś się mężnie — tak jako przystoi,
 Na krew Korwinów, na syna narodu,
 Co na świeczniku waleczności stoi,
 I miałeś sławę twych przodków, i rodu

W nowy, jaśniejszy przyozdobić wieniec!...
 Dziś — cóż się stało? — ty Hetman Madziarów,
 Dziecię Korwinów, waleczny młodzieniec —
 Zamiast iść gromić zagony Tatarów,
 Co kraj pładrują — spieszysz do kochanki,
 Porzucasz świętą powinność człowieka,
 Zostawiasz na łup — stare Alba — Greka,
 I z Zofiją śpiewasz miłośne sielanki.
 Chcesz być żołnierzem? — Hetmańska buława
 Najdroższy klejnot Madziarów korony,
 Ją w rękach tylko piastowała sława, —
 Ten święty symbol chrześcijan obrony —
 Ty Władysławie tylko dla ozdoby
 Nosisz ją teraz — i czekasz spokojnie,
 By minął pędzój czas twojej żaloby,
 I ty jak rycerz po wygranej wojnie,
 Byś mógł powrócić na kochanki łono,
 Ukłęknać z Zofiją na ślubnem kobiercu
 I jak najprędzój nazwać ją swą żoną,
 I śnić spokojnie z głową na jej sercu. —
 Wojsko cię kocha — lud czci w tobie dziecię
 Zbawcy Ojczyzny — więc milczy i czeka
 Nowych twych zwycięstw, lecz pamiętaj przecie,
 Że niecierpliwe jest serce człowieka,
 Znudzić się może — i obrzuci błotem —
 Śmiechu, pogardy i wstydu niestety
 Dziś to, co wczoraj obsypało złotem, —
 A wszystko winna miłość dla kobiety...

(bierze Władysława za rękę)

Wiesz Władysławie że może na świecie,
 Choćbyś wstępował na ślubne kobierce,
 Nie znajdziesz nigdy i w żadnej kobiecie
 Serca — co kochać będzie jak me serce; —
 Więc nie odrzucaj przyjaciela rady

Bo usta Franka nie wyrzekły zdrady,
Porzuć miłości a pospiesz na boje....

WŁADYSŁAW.

Tak, wielką prawdę, Franko, słowa twoje
Mieszczę. O przebac mi płochość; bo człowiek
Nie każdy może być podobnym tobie. —
Tys jest żelazny — nigdy twoich powiek
Łza nie zmoczyła....

FRANKO.

A w sercu jak w grobie
Pusto i głucho — tylko zgniłe cegły,
Grobowy kamień sterczy opleśniały,
A wśród nich dawne, bardzo dawne legły
Wspomnienia — i te wspomnienia spruchniały
Przez czas — i w piersi pruchno tylko świeci —
A powiedz, źle mi, żem się wyparł ludzi,
Uczuć i świata?... Nie! kiedy uleci
Duch z ciała mego, może się obudzi
Serce aż wtedy.... Dziś żyję spokojnie
Sam w sobie zawsze — nie tęsknię, nie płaczę,
Jestem wesoły gdy przywodzę wojnie,
Na odgłos trąby serce zakołacze,
Czasem i na głos mojego sokoła,
Kiedy po skałach lotne czajki chwyta,
A nigdy — kiedy kobieta zawoła
Głosem przepiórki z zielonego żyta:
„Pójdź!“ Ja nie pójdę i żadną kobietę
Serce me nigdy, nigdy — nie ośmiela
Bo na nim tylko to godło wryte:
„Honor rycerza, cześć dla przyjaciela“!...

WŁADYSŁAW.

Franko — znam serce twoje cenię radę.

I pójdę za nią — nie chcę by mówili
Ze Korwin kala buławę.....

SCENA II.

Ulryk wchodzi z nakrytą głową.

FRANKO (usuwa się krokiem)
(na stronie)

Pewno znów nową przyszedł uknąć zdradę —
(głośno) Co waszmość żądasz?...

CYLLI.

Zapominasz panie
Że wielkorządcy miecz dzwigam w prawicy,
Cześć mnie należy — bo ten miecz przystanie
Do głowy twojej i jak knot ze świecy —
Ona ci z karku potoczy się może....

FRANKO (uderza nogą w ziemię)

A ty co tylko w królewskiej komnacie
Miecz dzwigać umiesz — pamiętaj wielmoże
Że ja tu panem — i chociażbyś w szacie
Królewskiej przyszedł z orszakiem rycerzy
W Belgradzie — mnie się cześć twoja należy!...

ULRYK.

Za nim odpowiem na szydercze słowa
Twe panie Hrabio, muszę polecenia
Dane przez króla wypełnić — a głowa
Twoja powiadam, tak zleci z siedzenia
Swego na karku — jak piórko ze strzały,
Jeżeli mileżeć....

WŁADYSŁAW (przerywa mu)

I czegoż to chcieli
 Odemnie króla naszego rozkazy?
 Mów panie prędko — a potem urazy
 Jakie masz będziesz załatwiał spokojnie,
 Chcę wiedzieć prędko wolą mego Pana,
 Wojna się toczy i może to w wojnie
 Jakie odmiany?...

ULRYK (dumnie)

Król godność hetmana
 Z rąk twoich Hrabio w moje ręce składa,
 Oto jest pismo, (oddaje papier)

WŁADYSŁAW (z pomieszaniem)

O! nie, to jest zdrada! —
 Przebóg! i za co... a czyliż wy wiecie
 Że ja jój nie dam choćbyście mi trony
 Najpotężniejsze jakie są na świecie
 Całego świata, choćbyście korony
 Dać za nią chcieli..... bo mi ta buława,
 Droższa jak życie — jak złoto i sława —
 To szczęście moje!... i za co?...

ULRYK.

Mnie nie pytaj o to —

Ja nie wiem.....

FRANKO (postępuje ku niemu)

Ja wiem, że twe złoto
 I zdrady króla do tego skłoniły —
 Sprzedał ci tytuł — a twoje dukaty
 Przelane w sprzączki będą się świeciły

Na jego płaszczu — dopóki ich z niego
 Twa ręka podle nie odepnie znowu,
 I wraz z buławą na piersiach podłego
 Dworaka, dukat? buławą zostanie —
 No i cóż na to odpowiesz hetmanie!...

(dobywa do połowy miecza)

ULRYK.

Krwiać mi zapłacisz!... (sięga po miecz)

WŁADYSŁAW (bierze go za rękę)

Zatrzymaj się panie —

Ja dotąd jeszcze tu jestem hetmanem,
 A wiesz zapewne to — że przy hetmanie,
 Nie wolno miecza wydobyć — karanym
 Możesz być za to prawami hetmana....

ULRYK (wirywa rękę i uderza w głowę Franka
 on pada na ziemię)

Oto jest kara!

WŁADYSŁAW (przybiega do Franka)

Boże jaka rana!...

[rycerze!

Na jego głowie — zabity (wydobywa miecz naciera na Ulryka)
 Do mnie tu do mnie — rozsiękać to zwierze!...

SCENA III.

*Z przyległej komnaty wybiegają grający rycerze i rzucają się
 na Ulryka — ten po chwili pada pod ich ciosami.*

ULRYK.

Przekleństwo!... na was... a moje nadzieje,

Trony — korona — i przyszłości droga....
 Ciemno mi — piekło — co się w piersi dzieje...
 Konam — o! straszna — rychła — pomsta Boga!...

WŁADYSŁAW (podnosi Franka, obraca się do Ulryka)

O! Pan Bóg prędko bluźniercę zabije. (do rycerzy)
 Ratujcie wodza waszego — on żyje!...

(rycerze obstępują Franka)

Kurtyna zapada.

Koniec Aktu II.

AKT III.

SCENA I.

*Scena rozdzielona na dwie części białą zastoną — pierwsza część
 ciemna — w drugiej siedzi Zofija na fotelu, obok stoi Marta.*

ZOFIJA (do Marty)

Czy król się jutro odjeżdżać gotuje?
 Jaka to szkoda! prawda że ja skromna
 Ubogo w zamku moim go przyjmuję,
 Przecież, jak słyszę dobrze mówi o mnie!...

(zamyśla się)

Jaki on młody, zaledwie dwadzieścia
 Lat sobie liczy — a jaki już mężny —
 Choć delikatny, lice by niewieście,
 W szrankach go nie mógł zmódz rycerz potężny —
 Król mu miecz strzaskał i kopie rozkruszył,
 I jak ma koniem zataczać nauczył.
 A jakie hołdy, cześć zewsząd odbiera

Dumni panowie, rycerze, książęta
 Drżą, kiedy gniewnie król na nich spoziera,
 Jego rozkazy, wola — dla nich święta —
 Wyższego nadeń nie ma w kraju pana
 Ni wojewody, księcia; ni hetmana
 Władza królewskiej równać się nie może,
 A nawet z obcych krajów mu wielmoże
 Hołdy składają — jedno jego słowo
 Tyciące ludzi wyzuć może z życia
 Choćby to starzec, lub dziecię z powicia.
 Jakże to dobrze musi być królową
 Zostać — a hołdy należne królowej
 Zewsząd odbierać —

MARTA.

Przypomnij że pani
 Niedawne słowa, stariej wróżki owiej —
 Ona mówiła, że król cię pokocha!....

ZOFIJA.

Król! A Władysław? on wojskom hetmani
 Teraz z daleka odemnie i płocha
 Myśl w moim sercu powstać nie powinna....
 Chociaż

MARTA.

A któż wie, a może hetmana
 Zajęła teraz jaka miłość inna,
 Czyż ty dla tego masz odrzucać pana
 Naszego serce, żeś mu dała słowo?...
 Czyliż nie lepiej zostać Ci królową
 Jak żoną jego? Samaś to mówiła
 Niedawno, — kiedy łatwe jest do wzięcia
 Serce rycerza — lub serce księżęcia,
 Jabym zapewne ostatnie wybrała....

ZOFIJA.

Tak — mówisz prawdę — hetman może kocha
 Inną kobietę — i mnie wolno słowo
 Dane mu złamać — byłam wówczas płochą.
 Dziś myślę zdrowo — chciałabym królową
 Być — kocham króla — on piękny i młody —
 (przesuwa rękę po czole)

Ogień mnie jakiś trawi — daj mi wody
 (Marta nalewa kropel w kubek wody i podaje)

Teraz weź cytrę i śpiewaj balladę
 A zasnę prędej — krew się we mnie ścięła,
 W oczach mi ciemno — (chyli się i zasypia)

MARTA.

Jak prędko zasnęła
 Pójdźmy z tą (wychodzi)

SCENA II

Z prawej strony wchodzi Król i Vossogubaba.

VOSSOGUBABA.

Czegóż się lękasz miłościwy panie?
 Choć prędej! śpi już — prędko się nie zbudzi,
 Dałam jój napój — nie drzyj nie jój się nie stanie
 Napój krew grzeje, a serce wystudzi —
 Idź prędej do niej —

KRÓL (zbliża się do śpiącej Zofii.

Jaka piękna śpiąca
 W ten muszlinowy otulona rąbek —
 Jak w liść przejrzysty wonna lilija drżąca

Jak na gałązce uśpiony gołąbek (głośniej)
Zofijo!...

ZOFIJA (przez sen)

Ha! i któż mnie woła,
Głos że to ludzi — czy głosy anioła —
Czy to Władysław? odejdz... miłość moja....
Już nie dla ciebie... króla... Kocham....

VOSSOGUBABA.

Twoja

Hrabina królu — do dzieła!...

(zasuwa zasłonę i staje na środku sceny)

SCENA III.

VOSSOGUBABA.

Skarana

Krew nienawistna, zemsta dokonana —
Umrę spokojnie — tylko moje szaty
Dwoma kroplami krwi się znowu zboczą
Ale jój ludzie na szatach nie zoczą —
No pójdźmy teraz czuwać do komnaty —

(chce wychodzić, we drzwiach spotyka ją Władysław).

SCENA IV.

WŁADYSŁAW.

Czyś ty służebna? — mów — gdzie jest Hrabina?
Chcę ją zobaczyć — choć w nocnej komnacie —
Chociażby w łożu — wszakże dla Korwina
Wolne jest przejście —

VOSSOGUBABA.

Nieco poczekacie; —
 Hrabina króla u siebie przyjmuje,
 A król morderców nie mile widuje —
 Otrzyj krew wprzód na twoim sztylcie
 Krew Cyllejskiego —

WŁADYSŁAW.

Co ta stara plecie —
 Puść mnie co żywo — gdzie król, gdzie hrabina?

VOSSOGUBABA (odstepuje od zasłony)

Chcesz idź? — lecz wprzód słuchaj mnie Korwina
 Dziecię jedyne, tam śmierć czeka ciebie —
 Hrabina króla, a król ją miłuje —
 I nie pozwoli wydrzeć ją od siebie, —
 Gdy wejdiesz zgromi — i w kajdany skuj
 Jako mordercę — i swego rywala, —
 Naród zapomniał, żeś ty syn Hunyada,
 Bo ręce twoje niewinna krew kala —
 Przekleństwo Cyllich na krew waszą spada...

WŁADYSŁAW.

Król z Zofiją w nocnej zamknięci świetlicy?
 Zofija go kocha? Boże co to znaczy? —
 Nie, to fałsz, kłamstwo! — w zamkowej kaplicy
 Przysięgła miłość — ha! któż wytłomaczy
 Tę tajemnicę? — ja sam!...
 Biada! jeśli miłość swoją
 Dała innemu... — ha! nie tylko serce,
 Ale i ciało? — Noc i król w komnacie
 Z nią — ciemność, w koło makaty, kobierce
 Zamknęły światło — wierzyłem kobiecie —

Franko mówiłeś prawdę — o biada!...

(dobywa sztylet i wchodzi za zasłonę)

VOSSOGUBABA

(stoi chwilę milcząc na środku sceny potem woła)

Wołajcie rycerzy!

Brońcie króla — morderca chce wam zabić pana

Ten co już zabił waszego hetmana

Hunyad!.... kto żywy niechaj tu przybieży

Ratujcie!...

SCENA V.

Kilku rycerzy z dobytymi szablami wchodzi do sali.

WŁADYSŁAW (jakby w oblakaniu z za zasłony wychodzi)

Prawda, król — usłane łoże —

Ona — noc ciemna — śpią — o Boże — Boże!...

Nie mogłem zabić króla ni kobiety

Nikczemnej. — Chciałem — ręce i sztylety

Opadły — kocham, kocham ją niestety!....

(chce wyjść z sali, rycerze zastępują mu drogę)

Co chcecie — puśćcie, puśćcie mnie, wyjść muszę

Z tych miejsc — puszczajcie, jestem hetman przecie,

Mam liczne wojsko — waszą przemoc skruszę —

(dobywa szabli)

Całego świata. — Chcę zemsty! — Kobiacie

Niewiernej nigdy przebaczyć nie mogę!...

(roztrąca szablą rycerzy).

SCENA VI.

KRÓL (otwiera zasłonę, wychyla głowę)

Daléj rycerze — zamknijcie mu drogę —
Targnął się na mnie — okujcie w kajdany
I do więzienia niech pójdzie związany!...

(spuszcza zasłonę znowu — Władysław chwilę
walczy z przeciwnikami — wytrącają mu oręż, chwytają za ręce).

Kurtyna zapada.

Koniec Aktu III.

AKT IV.

SCENA I.

*Mały pokój więzienny — kaganiec u sklepienia — Władysław
siedzi w kącie na wiązce słomy — przy nim Franko.*

WŁADYSŁAW.

Franko mówileś prawdę...

FRANKO.

Zapóźno niestety!

Poznałeś ją Hunyadzie — i cierpisz dla tego,
Złożyłeś przyszłość swoją na sercu kobiety —
I cóżeś wybudował — doczekałaś czego?

WŁADYSŁAW.

Czyś i ty przyszedł robić mi wyrzuty?

FRANKO.

Robiłem ci ich kiedy?... Dawałem ci rady

Gdyś był wolny — dziś kiedy w więzieniu okuty —
Niosę pociechę — jeśli przyjmiesz ją Hunyady....

WŁADYSŁAW.

Pociechę? dla mnie — nie ma szczęścia ni pociechy,
Ja mam umrzeć, jak zbrodniarz pod toporem kata —
Za co? za płochą miłość — za młodości grzechy —
Żem wierzył światu i chciał żyć dla świata...

A! piękną przyszłość roiłem sobie —

Shczęście... kobietę... i na jój łonie,

Prześnić wiek cały, złożywszy skronie.

Śnić! aby jutro — zbudzić się w grobie!...

O! jak to straszno umrzeć pod toporem kata....

Wiesz Franko, jam nie drżał w bitw wrzawie w walk pyle,

I śmiałom szedł na przód i w ogień i w bój,

Lecz pośród téj hańby upadnie na sile,

I zadrzy przed katem — Franko — hetman twój...

(chwyta Franka za rękę mówi prędko jakby w obłąkaniu)

Czy słyszysz Franko jak ten wiatr złowrogo

Wstrząsa konary drzew, głuchy świst jego,

Co brzmi jak hymn ponury nad trumną zmarłego,

Jakąś tajemną napelnia mnie trwogą —

(wstaje)

Patrz płomień lampy drży — niby struna drżąca —

Gdy o cytrę niewprawna, słaba ręka trąca,

To błyska — ciemno krwawo — to znów nieco jaśniej

Aż buchnie z niéj kłęb dymu — i kaganek zgaśnie —

Zgaśnie jak życie moje...

(prędzój jeszcze)

Raz na mojej drodze —

Stanęła jakaś mara — i mówi Hunyady:

Tam król z Zofiją spoczywa — sądziłem się zdrady

Lub znowy być igraszką — wchodzę do komnaty —

Była noc — ciemno — tyko z za makaty —

Księżyc słabym promieniem oświecał jój lica...
 Wszedłem cicho — jak mara — dywan tłumił kroki...
 Patrzę — i przy tém blasku złowrogim księżycy
 Przy jój piersi — dojrzałem pierś jakiegoś męża...
 To był król! król! A ona usteczka różowe
 Tulila do ust jego — a do serca głowę. —
 Stałem — i nóż z pochwy dobyłem szeroki,
 Chciałem zabić — nie mogłem w te piersi uderzyć,
 Ręka spadła bezwładnie — i martwy stanąłem
 Krew na mózg uderzyła nie wiem co się stało
 Dalej

(pada na słomę. Franko obciera łzy — Władysław bierze go za rękę)

Ty płaczesz Franko — czy płaczesz nademną? —
 Żal ci patrzeć na ścięcie rycerza młodego —
 A! Franko nie płacz — żal nie nie pomoże
 Serce w piersi zamiera i w oczach mi ciemno —
 Nie wiem czy loch tak ciemny — czyli dzień tak ciemny,
 Głowa mi cięży — jestem jakiś senny —

(chwieje się mówi powoli)

Może sen mnie ogarnie... służy gaście świece
 Ja śpię... a! widzę szafot... kata... szubienicę...
 (macha ręką)

Precz... precz! odemnie mary... (zasypia, kaganek gaśnie)

SCENA II.

FRANKO (nachyla się ku niemu)

Śpi — ale sen jego

Różny — i bardzo różny od snu wczorajszego.
 Wczoraj w śnie słodkim widział swój kochanki lice
 Dzisiaj — kata i topór — szafot, szubienicę!
 (zamyśla się)

Ty nie umrzesz Hunyady! serce nie z kamienia
 Kochać musi — kobiety nigdy nie kochałem,

Sierota!... mych rodziców znam tylko z imienia,
 Maleńki byłem jeszcze — ledwo szczebiotałem —
 W kolebce, gdy straciłem ojca mojego — a matki
 Głosu ja nigdy, nigdy nie słyszałem!...
 Zostało mi nazwisko — przyszłość, i dostatki
 One były dla ciała — ale sercu trzeba
 Pokarmu — bo i ono wychudnie bez chleba —
 Tym pokarmem dla serca ty byłeś Hunyady!...
 Byłeś mi przyjacielem, kochankiem i bratem,
 Tyś w bitwie zawsze wstępował w me ślady
 By mnie bronić — ja ciebie zastąpię przed katem...
 Śmierć! — i cóż śmierć znaczy... jedna chwila męki —
 Minie szybko — a słodko umierać za ciebie —
 Bolesno dla rycerza ginąć z kata ręki,
 Ale — Hunyady w krótkce obaczmy się w niebie —
 Tam żyć będziemy... (wznosi oczy do nieba)

Rodzice ukochani moi,

Czekajcie mnie — za chwilę przyjdę was powitać
 Rycerz ni śmierci w boju ni kata się boi...

(klęka przy śpiącym Władysławie)

Bywaj mi zdrów Hunyady — a na moim grobie,
 Który kat pod szafotem wykopie mi z rana
 Uron chociaż łzę jedną — bo w nim wierne tobie
 Spoczywa serce — pomódl się do Pana
 Zastępów za mnie... (przyciska jego rękę do piersi — całuje w czoło)
 Boże wielki — przebacz wszystkie moje grzechy!...

(powstaje i bierze na siebie purpurowy płaszcz Władysława)

Nikt nie wie, żem tu przyszedł — kiedy wejdą stróże,
 Wezmą mnie za Hunyada — usiedę przy murze
 Tu ciemno, będę czekał — twarz płaszczem obwiję
 (siada i zasłania sobą śpiącego Władysława)

On — przed oczami ludu i króla mnie skryje —
 (okrywa się płaszczem)

Na szafocie obnażę kark — a twarz i głowę

Obwinę dobrze w płaszcz; gdy głowa spadnie
 Hunyad będzie daleko — w więzieniu połowę —
 Drzwi zostawię otworem — stróż późno odgadnie
 Pomyłkę — aż po śmierci mojej (słysząc kroki) idą po mnie!...

SCENA III.

*(Kurytarz więzienny) — Stróż otwiera drzwi i staje w nich,
około niego kilku zbrojnych i Vossogubaba.*

STRÓŻ.

Władysławie Hunyady — w imie króla pana
 I narodu całego wynijdzie tu do mnie!...
 (Franko wychodzi i drzwi za sobą zamyka)

STRÓŻ.

Szkoda — biednego młodziana
 Twarz kryje — to ze wstydu — niechże ma zakrytą
 Choć na niej piętna zbrodni jeszcze nie wryto —
 I podobno że nigdy wryte nie będzie!...

(Vossogubaba zbliża się do Franka i maca rękami po głowie, po chwili odchodzi)

VOSSOGUBABA.

Rycerze zacni — wy jesteście w błędzie
 To nie Korwin ktoś inny — i wy nie Korwina
 Lecz obcego rycerza na śmierć prowadzicie —
 Lękajcie się pomyłki, na was spadnie wina!...

STRÓŻ (odchyła płaszcz z twarzy Franka)

Ta poczwara ma racją — koledzy widzicie
 To nie Korwin — a! przebóg to hrabia Szilagi —
 Jego wiedziemy na śmierć — gdzie Korwin? szukajcie

W więzieniu! — nie mógł uciec — Hrabiego puszczajcie —
 Chciał widać być zabitym, zbrakło mu odwagi
 Przenieść śmierć swego drucha — choć to nie koniecznie
 Dobrze — umrzeć za kogo —

(rycerze biegną do więzienia stróż mówi do Franka)

Odejdźcie bezpiecznie

Hrabio — jesteście wolni — służyłem pod wami,
 W jednej bitwie biedaka ocaliłeś życie —
 Ja ci ten dług dziś za to wypłacam sowicie —
 Puszczam wolno i zdrowo — kwita między nami!...

(odbiega do więzienia, Franko zostaje sam z Vossogubabą)

SCENA IV.

FRANKO (postępuje do Vossogubaby i chwytą ją za rękę)

Wiedzmo — tyś mnie zdradziła!!

VOSSOGUBABA.

Ja — i któż ci przeczy,
 A wiesz czemu? przysięgłam zemstę krwi Hunyadów,
 Okropną zemstę — jakiej mózg człowieczy
 Nie wydał nigdy — chyba serce gadów!
 Ścigać całą rodzinę do ostatniej kości —
 Mordować, siec — zabijać — bez żadnej litości —
 Wiesz za co? Bo Jan Hunyad uwiódł mnie niegodnie,
 A potem z inną dziewczką żenił się swobodnie —
 Zabiłam go w Semlinie — i moja to sprawa
 Że dzisiaj kat odetnie — głowę Władysława —
 Jedna jeszcze gałązka Maciej pozostaje....

FRANKO (porywa ją za piersi i ciągnie na prawą
 stronę sceny za kulisę)

Ale téj już przynajmniej jad twój nie dosięże,

Ni twa ręka co wszystkim truciznę zadaje —
Kto żył jak gad niktzemny niech zginie jak węże...

VOSSOGUBABA (z przerażeniem opiera się)

Litości — o litości! człowieku jam ślepa,
Gdzie mnie ciagniesz — tu przepaść czuję pod stopami
(pada na kolana i składa ręce)

O! lepiej rozbij kości mego czerepa,
A nie mścij tak strasznie! w tej ciasnej otchłani
Może jeszcze żyć będą pomiędzy gadami! —
Może się nie zabiję! tak nie są karani
Najstraszliwsi zbrodniarze! a wiesz, tam się leże
Moc niezliczona gadów — jaszczurki i węże!...
Wiem bo ten loch obrzydły widziałam za młodu —
Będą mi ciało żywcem oddzierać od kości —
Sssać krew — a długo! długo! aż nie umrę z głodu!
(pada do nóg i chwyta go za płaszcz)

Człowieku miejże serce! litości! litości!...

FRANKO — (popycha ją nogą)

Nie — nie — boś ty poczwaro także jój nie miała
(wypycha ją zupełnie za kulisę — słychać szamotanie)

(Głos Vossogubaby z za kulis)

I cóż ci winna biedna, stara ociemniała —
Zabij odrazu — nie męcz — panie! panie! panie!
Nie spychaj w ten loch straszny — (słychać spadanie ciała)

Och! co się tam stanie

Ze mną! Och!... Boże!... żyję!...

(Pachoły wyprowadzają Władysława — Franko wchodzi)

SCENA V.

FRANKO (wyciąga ręce)

Biedny Władysławie

I ty będziesz pomszczony — moja zemsta prawie
 Będzie taką okrutną — jako téj kobiety —
 Hrabino! Królu! drżycie — już po was niestety!
 Idę ja śmierć!...

(wyprowadzają ze sceny Władysława, Franko schyla głowę)

Kurtyna zapada.

Koniec Aktu IV.

AKT V.

SCENA I.

*Na środku sceny szafot czarnym sukniem pokryty — na nim piak —
 Za otwarciem kurtyny Władystaw wstępuje na niego otoczony strażą —
 kat stoi oparty na mieczu — za szafotem na wzniesieniu — do po-
 łowy zakryty zastoną — stoi król — ale wchodzi dopiero w środku
 sceny — dalej w około szafotu rycerze i lud. Obok Władystawa stoi Fran-
 ko trzyma za rękę małe dziecko — Macieja brata Władystawa — słycać
 marsz żałobny.*

WŁADYSŁAW (powstaje)

Żegnaj ludu węgierski — umieram spokojnie —
 Spokojnie idę w drogę, i w świat idę inny —
 Jak rycerz — wódz i żołnierz, po wygranej wojnie
 Pod cień rodzinnéj strzechy — bo umrę niewinny!...
 A krwi mojej niewinnéj — niechaj Bóg nie waży
 Na szali grzechów waszych — sądu nie wytaczam
 Przed owym panem ziemskich królów i mocarzy,
 Nie żądam kary — bo i ja przebaczam!...

FRANKO (podaje mu Macieja)

Brat twój ostatnia gałąź szlchetnego rodu

WŁADYSŁAW (ściska go w objęciach)

Biedne dziecko sierotą będziesz już za młodu —

Nie — nie będziesz sierotą (podnosi go w górę)

Wam rycerze moi

Węgrzy szlchetni — pomny w waszą cnotę

Oddaję pod opiekę, waszych sere i zbroi

To biedne, małe dziecię — ubogą sierotę!...

(oddaje dziecię do rąk Franka — słychać płacz
ludu, Władysław obraca się do Wassali swoich)

Żegnam was giermki moje, wassale, rycerze —

Zostawiam wam po sobie to maleńkie dziecię

Wszystko co mi jest drogie, zostawiam na świecie —

Niechaj czas, wspomnień o mnie z sere wam nie zabierze

(spozstrzega płaczącego pazia)

Dziecię, mój paziu drogi! płacz hańbi rycerza,

Niech żal się ryje zmarszczkami na czole

Lecz strzeż łyzy!

SCENA II.

PAŹ (zbliża się do szafotu)

Nie mam serca zwierza

Tyś mnie o panie! wychował na dworze

Dał piękne szaty, i chleb matce starój

Że był dostatek w staruszki komorze

I piękne suknie dla méj siostry małój!

I nie mam płakać za tobą!... (kłęka)

O Panie!...

Tam w domu płacze stara matka moja,

Z zgasłego oka, i z zwiędłej źrenicy
 Cieką łzy — chwila a już łez nie stanie
 Będzie w jej oku jak w nocnej świetlicy.
 Patrz, oto sługi — wassale, giermkowie,
 Wszyscy kochali cię tak — spojrzij Panie —
 Któż ich powiedzie na bój i kto im powie:
 „Jutro na łowy ledwie słońce wstanie
 I blaskiem zamku oświeci mogiły“!...
 Tam w stajni koń twój rzy — przy pustym żłobie
 Jak — gdy ci za chleb lizał ręce obie —
 Czuje że go twe ręce nie będą pieściły..!
 Panie żyj z nami! my wszyscy za ciebie
 Poniesiem śmierć!...

WŁADYSŁAW (smutno)

Zobaczmy się w niebie!...

(Król wstępuje na wzniesienie lud płacze coraz głośniej).
 (do Franka)

Franko podaj mi dłoń swoją
 Z twoją dłonią na sercu lżej umierać będzie —
 (Franko podaje mu rękę, Władysław przyciska ją do piersi).
 (Kłęka — do kata)

Gdy skończę ostatnią modlitewkę moją —
 Powiem: Jezus, Marya, Józefie; — uderzaj!....
 (chwile modli się — kładzie głowę na pieńku — kat stoi nieruchomy).

LUD (z za kulis)

Litości! — Litości!
 Przebac mu królu — panie!...

WŁADYSŁAW (powoli donośnie)

Jezus — Marya — Józef!...
 (kat wacha się).

KRÓL.

Uderzaj!...

(Kat uderza trzy razy, chybia i tylko rany zadaje,
Władysław powstaje krwią zbroczony).

WŁADYSŁAW (tamując krew płaszczem)

Prawo ludów i Boga powiada: że kata
Ręka nie może tylko trzy razy uderzyć!
Królu! czy wzgardzisz prawem chrześcijańskiego świata? —
Czy krew ta co mnie broczy, nie może uśmierzyć
Jeszcze twój zemsty!?...

LUD (z prośbą)

Litości! — Litości!...

KRÓL (donośnie drżąc)

Uderzaj!...

WŁADYSŁAW (klęka i wznosi rękę do góry)

Kara to za sroga!

Królu — ja ciebie wołam na sąd Boga!...

FRANKO (zrywa się z szafotu dobywa sztyleta)

Człowiek się pomści!...

KRÓL (niecierpliwie)

Uderzaj! (schodzi z rusztowania)

(kat się zamierza)

Kurtyna zapada.

Koniec Aktu V.

Epilog.

*Mała sala ciemna — Zofia czarno ubrana klęczy i modli się — na
dworze burza — błyskawice i grzmoty.*

FRANKO (wchodzi — na sztylcie trzyma serce
zbroczone krwią — Zofija powstaje)

Patrz piękna Pani — na pierścionek ślubny

Trochę kruszcu przyniosłem (z ironią)

Jaki rubin wielki —

Piękny i bardzo piękny! ale czasem zgubny,

Zwłaszcza — gdy na niem świecą, świeżej krwi kropelki,

Wiesz pani z kąd ten rubin? to serce królewskie,

Twego kochanka serce, ha! ja dobrze mierzę —

Sztylet ostry a pewny — jak gromy niebieskie —

Biada do czyjej piersi i krwi się dobierze!...

ZOFIJA.

Panie! co chcesz powiedzieć? co to wszystko znaczy —

Czy chcesz mnie słowem karać?

Jam już ukarana

Lud odemnie ucieka — król spojrzeć nie raczy —

Jak widmo w gmachu pustym błąkam się od rana

Do nocy!... A gdy przyjdzie i płaszczem okryje

Czarnych chmur niebo — i gwiazdy zagasną

I zmilknie wszystko na świecie, co żyje.

Duchy się budzą — gdy ludzie już zasną; —

I straszne mary jawią się widome...

Widzę topór i kata — szafot, szubienicę —

I śmierć — co w majestatu całym jest ogromie —

I długą — długą — pełną krwi ulicę —

I lud wyciąga ręce — i litości błaga,

A on — pociętą głowę podnosi nad tłumy —

A twarz jego szlachetna — ale dziwnie blada —
A na ustach boleścią krwawych — czytam

„Zdrada“!...

Zdradziłam... mnie zdradzono — pragnęłam korony —
Sięgam — to krew!... i hańba! berło — topór kata!
Z trupich czaszek usłane zasiadam dziś trony —
Nie miła sobie — Bogu — wyklęta od świata!...
O! zabij mnie już panie — bo żądło sumienia
Straszniejsze jest niżeli życie — Niechaj już nie żyję!...

FRANKO (zawsze z szyderstwem)

Za późny żal i skrucha, kobieto sumienia,
Chcesz umrzeć — umrzesz — bo ja cię zabije —
Przysięgłem śmierć wam — i śmierć wam przynoszę!...
Drugie nikczemne serce z piersi ja wyproszę —
Zginął król — a przysięgłem — zginie i kobieta.

ZOFIJA.

(cofa się ku ścianie i spogląda na Franka obłąkanemi oczami — ten dobywa sztylet z za pasa chowa go wtył — postępuje krokiem i wbija jej w piersi — Zofija pada z sianiając pierś ręką)

Boże — Boże! litości — grób — ciemno, szofoty —
Noże... topory... katy... krew! krew! i pożoga!...
Śmierć ścisza serce węzowemi sploty —
Okropnie — Boże! Boże!...

(podnosi się na ręce i upada z jękiem)

Dla mnie niema Boga!...

FRANKO (rzuca drugi sztylet na ziemię i depece nogami serce królewskie)

Pomściłem cię bracie! Niewinną krew twoją
Jako okup za grzechy — Bóg już przyjął w niebie —

Jakże przyjmie me zbrodnie, — i ofiary moje?...

(po chwili namysłu)

Jak ukarze — przebaczy — czy wezwie do siebie...

(klęka — podnosi ręce do góry, długą chwilę pozostaje w tej postawie — jakby się modlił)

Panie!... ukarż — i przebacz!...

(Długa chwila milczenia, Franko ciągle w jednej postawie się modli, — Słychać grzmoty — błyskawice oświecają salę — piorun uderza w głowę Franka — ten pada na ziemię — podnosi się jeszcze i opiera na sztylcie — wznosi oczy do góry jakby w natchnieniu) [muzyka grać zaczyna]

Witaj Władysławie!...

Niebo! Bóg!... a w około archaniołów głosy —

Śpiewają pieśń cudowną — o boju — i sławie —

Zbroje — miecze... koleczugi — ułożone w stopy

Cudowne, wielkie!... Grzmią trąby bojowe...

Sokół szybuje w chmurze... zabija co żyło...

Wieniec męczeński niesie... kładzie mu na głowę —

Bóg przebaczył! przebaczył! (upada)

Umierać jak miło!....

(kona)

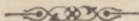
Kurtyna zapada.

KONIEC.

Objaśnienia historyczne.

Postać Jana Hunyada Korwina — Regenta Węgier, zanadto dobrze ~~znana~~ jest w dziejach — abyśmy o rzeczywistości jej przypominać chcieli. — Jan zostawił dwóch synów — Władysława i Macieja — umarł w Semlinie dziedzicznym zamku swoim. — Władysław walczył przy boku ojca — otrzymał po nim dostojność hetmana — wskutek intryg dworskich takowa nie długo została mu odebrana. —

Za zabicie hr. Cyllejskiego wyrokiem sądu króla Władysława pogrobowca — osądzony został w Budzie w więzieniu stanu — następnie ścięty na rynku Budy. Szczegóły jego śmierci są wiernie podane (obacz: „Orszaggyntes Napilolja“ — dziennik urzędowy sądów węgierskich — i Boldeynyiego — Historją węgier). Król Władysław zabity w Czechach w Pradze, właśnie kiedy się wybierał na ślub swój z Małgorzatą ks. francuzką — Maciej drugi syn Jana otrzymał koronę węgierską. — Vossogubaba, wróżka znajoma w podaniach węgierskiego ludu.



~~~~~

**P O E Z Y E.**

Do Zd.

~~~~~

Niezapominajka.

Nad brzegiem wody, w trawie ukryty —
 Rośnie kwiatuszek malutki,
 O drobnym listku, w błękit uwity
 Znany ci dobrze — kwiat niezabudki.

—————

Mówią że dawniej gdy na bój krwawy,
 Młodzian w dalekie szedł kraje,
 Jego kochanka pełna obawy,
 Kwiat niezabudki mu daje;

—————

By nie zapomniał o swojejj ziemi,
 I o kawałku jej nieba;
 I wracał zdrowo żyć między temi,
 Których do szczęścia mu trzeba. —

—————

I my podobno nie wiemy bracie
 Kędy nas przyszłość porzuci:
 Czy kto zapłaci po naszej stracie,
 I pieśń rodzinną zanuci!...

—————

A więc ja tobie w daleką drogę
 Wspominek daję malutki;
 Przebacz że tylko... (więcej nie mogę)
 Kwiat niezabudki.

Lublin 1865.

Zwątpienie.

Są ludzie których Bóg w kolebce jeszcze
 Namaszcza świętym chryzmatem boleści,
 A daje miłość i przecucia wieszce,
 I wielką wiarę w ich duszy pomieści —
 I dziecko takie wzrasta na młodzieńca,
 I świat ukocha, i ludzi, i Boga,
 I kwiaty wonne śni do życia wieńca
 I jasna piękna dlań przyszłości droga. —

Wzrasta tak szybko!... A z nim i nadzieje
 Szczęścia roskoszy, miłości i wiary,
 I przyszłość wdzięcznie do niego się śmieje
 I żadnej krwawej nie pragnie ofiary. —
 Z miłością w sercu, z uśmiechem na twarzy
 On sam wybiega w świat pomiędzy ludzi,
 I biedne dziecko, w snach roskoszy marzy
 Że ciernie życia nigdy go nie zbudzi.

Z uśmiechem do świata wyciąga rączęta
 I prosi go — chociażby — o serca kruszynę,
 Świat depcze uczucia, niknie miłość święta —
 I zboląta od siebie odpycha dziecinę. —

Wówczas na czole biednego młodziana
 Gdy ujrzy tak wszystkie marzenia stargane
 Osiada już boleść głęboka, nieznana,
 — I oko łąz gorką na zawsze splakane.

I wątpi o ludziach, o świecie, o Bogu;
 I w duszy grób wielki marzeniom buduje,
 I zbudzi się chyba na wieczności progu,
 Gdy jeszcze miłości iskierkę uczuje!...

Lublin 1865.

Ideały*)

W dzień biały ze świecą szło dziecię małeńkie,
 Wiatr rozwał włos bujny na skronie
 I kroplę dżdżu rzucił na białą sukienkę
 Krwi krople zostawiał na łonie.

„Gdzie bieżysz dziecino ze światłem w dzień biały,
 I czego tu szukasz po świecie?
 Wróc lepiej do chaty chłopczyño mój mały,
 Do ojca do matki wróc dziecię“!...

— Nie mogę; mój ojciec już mieszka na niebie
 A matka umarła choć żywa;
 Bóg wszystko co kocham powołał do Siebie
 Pokruszył ze światem ogniwa.

A miłość wlał wielką co piersi rozżarza
 I świeci jak próchno szkieleta
 I dziwne pragnienie żądź roje mi stwarza
 Mój panie — ja jestem poeta!...
 I szukam po świecie ze światłem w dzień biały,

*) Fragment nieskończonej poezji pisaniej na początku r. 1866.

Człowieka co pojmie mą duszę.....

— A znajdziesz go dziecko!.....

.....



Wianek.

Serce to ogród z kwiatami
Lecz cenić potrzeba te kwiaty;
Bo zwiędną i pustkę zostawią przed nami
I oset... gdzie kwitły bławaty!...

A w piękne je można ułożyć wianuszki
Bóg kocha się w takiej ozdobie,
Bo sama je zasiewa — te wonne kwiatuszki,
A zbiera dopiero, dopiero na grobie.

Więc ja ci z nich małą równiankę ustroje
I wstążką życzenia opaszę
Niech tylko ją długo chowa serce twoje,
Wszak niwy wydały ją nasze.

Ot róża stólistna, kwiat wonny i miły
Najpierwsza w równiance tój gości,
Dziewice nią głowy do ślubu stroiły
Bo symbol to — świętej miłości. —

Tu obok pierwiosnek z pod białych obsłonek,
 Małemi usteczki się śmieje
 Wprzód wzrośnie, nim pierwszy zaśpiewa skowronek
 On to wam przynosi nadzieję. —

A za nim kwiat blady otoczony cierniami,
 Nie wielka podobno ofiara.
 O wielka! gdy w drugi świat pójdzie za nami
 Bo szczęście wymodli — To wiara!...

Przy cierniu lilija wykwitła nieśmiała
 I jakby prosiła litości,
 Tak wonny swój kielich wśród listków schowała,
 To symbol anielskiej czystości.

A dalej za niemi chwastami zasuty,
 Przyjaźni umieścił się kwiatek
 W pół zwiędły, bo kolcem różowym przekłuty
 Bez barwy i woni — to bratek. —

I wszystko. Już mała uwita równianka
 Lecz chowaj ją pilnie i skrycie
 By nawet listków drobnych z tego wianka
 Ułudne nie wzięto ci życie.

M y ś l i.

.... Może zdołałbym nadać nieśmiertelność
 Tobie — i sobie — na płótnie lub z glazu
 Rzeźbiąc uczucia nasze z naszym ciałem;
 Aby w lat tysiąc podziwiano dzielność
 Mojej miłości — czar twego wyrazu
 I zrozumiano czemu tak kochałem.

M. A. BUONAROTTI.

Bywa czasami — że potęgą dłuta
 Zaklęty marmur, lub granit ożyje —
 I martwa postać z kamienia wykuta
 Myśli przyciągnie, i serce przybije. —
 Że na sztaludze postać ideału
 Pędzlem artysty cudnie wykonaną
 Przyswoi ducha, i twórca pomału
 Przed dziełem swoim padnie na kolana —
 I miłość taka przetrwa całe wieki —
 Aż w skrzepłych członkach pędzel albo dłuto
 Artysty, mistrza, czas i świat rozkruszy,
 I jego dzieło — na okruchy małe
 Na proch rozsypie — i długą pokutą
 Na Bożym świecie wyschnie źródło duszy.
 Czemużby obraz którego ni dłuto
 Z kamiennój bryły, ni pędzel artysty,
 Lecz myślą ducha na sercu wykuta
 Jak dyament cenny, a jako łza czysty
 Nie miał trwać wieki?... czemu to kochanie
 Szybko się w sercu płomykiem zapali
 Jak błędny ognik w nocy na kurhanie
 Jak iskra drobna dobyta ze stali
 Zagaśnie !

(Dalszy ciąg zaginął).

POGRZEB POETY.

FANTAZYA.

Ludzie.

Bijcie we dzwony — palcie pochodnie
 Śpiewajcie pieśni pogrzebu
 Wielkiego męża trza uczcić godnie
 Hej! żałobnicy do śpiewu!...

Włóżcie do trumny święcone szczątki
 Zapłaczcie po nim narody;
 Krzyż mu na grobie wzniesć dla pamiątki;
 Szkoda że umarł tak młody!...

Może nie jedna pieśń spała w łonie
 Czasu jój wysnuć nie stało
 Prędko umilknał głos w jego stronie
 Szkoda że śpiewał tak mało!...

I wzięli ludzie trumnę w ramiona
 I na cmentarzu złożyli;
 Skonały pieśni — i pamięć skona
 Pusto w około po chwili....

Głos ziemi.

Oto są prochy wieszczą narodu
 Co chciał ducha nad poziom wzniesć

Pękła Mu strona. — Umarł za młodu
 Spokój popiołom — gróbowi cześć!
 Śpij mój synu ukochany
 Na twój matki biednej łonie
 Chciałeś cieszyć ją pieśniami
 Lecz cierń zranił twoje skronie
 Cierń boleśny — to złość ludzi
 I poniósłeś ból — z twych dróg
 Śpij więc w grobie — aż Cię zbudzi
 Trąba sądu — Anioł — Bóg!...

Głos kwiatów.

Biedny — biedny! — wieszczu miły,
 Tęskno tobie w świecie było
 Ludzi pieśni nie bawiły,
 Co zamarło, nie odżyło.....
 Pękła strona twojej lutni
 Zmarłym chyba zagra w grobie,
 A my po niej płaczem smutni
 Po niej płaczem i po tobie!...
 I my mamy serca przecie,
 Pieśni mamy, skargi mamy
 Komuż śpiewać będziem w świecie
 Chyba tobie zaśpiewamy.....
 Myślą ludzie — polne kwiaty
 Martwe, głuche są istoty.
 Rozkryjcie nam z piersi szaty
 A ujrzycie serce, cnoty....
 Tylko śpiewak nas zrozumie,
 Pieśni nasze, skargi nasze,
 Myśli nasze zgadnąć umie
 Tylko śpiewak — albo ptasze. —
 Tyś się błakał tam na świecie
 Jakby mara w noc na grobie

Jak duch Pański żył w szkielecie
 Nikt nie poznał się na tobie!...
 Niby ludzie płaczą smutni
 Po twój pieśni i po tobie
 I po dźwięku twojej lutni
 Przecież łzy nie widać w grobie,
 Bo nie sercem — ale okiem
 Nie dla Ciebie — lecz dla świata,
 Łzy się leją z ocz potokiem,
 Nie ofiary — ale kata. —
 My nie ludzie — lecz umiemy
 Czczyć poetę — co nam śpiewa
 Ale czémże Cię uczciemy....
 Polne kwiaty — tęskne drzewa?...
 Oto co dzień w rannój dobie;
 Przyodziani w czarne szaty,
 Przyjdziem płakać na twym grobie
 Tęskne drzewa — polne kwiaty!...

Głos kochanki.

Czemu ja płaczę na Jego grobie
 Płakać nie wielka zaleta,
 Może ja płaczę z żalu po tobie?...
 Dość..... Wszak nie jeden poeta!...

Głos Cherubinów.

Kto tu biegnie po nad światy
 Chce doścignąć niebios mety?
 Białe skrzydła — białe szaty
 Ach! wszak to jest duch poety!...
 Witaj — witaj! wieszczu miły
 Niebios duchy Cię witają
 Będą w kwiaty Cię stroiły,
 I Hosanna zaśpiewają!...

Wracasz do nas biedne dziecko
 Mogiła Cię z światem dzieli
 Tu świat inny — gdzie Anieli
 Dadzą serca swe pocie.

Głos Duchów.

Witaj! witaj! tu na łonie
 Spoczniesz naszym — spoczniesz z nami
 I żyć będziesz w naszym gronie
 Zawsze z nami — wiecznie z nami!...

Chór Cherubinów.

A tu pięknie i wesoło
 Bawiem się tu niby dzieci
 Wonne kwiaty wieńczą czoło
 Słońce wiecznie dla nas świeci....

Chór Duchów.

O! tu pięknie — ptasze śpiewa
 Kwiatki cudne są na łące
 Złoty owoc rodzą drzewa
 Wieki płyną jak miesiące!...

Głos Cherubinów.

Tyś sierota pośród świata
 Jak u ludzi jest zwyczajem,
 Nie znalazłeś serca brata.
 My Ci nasze serca dajem.

Chór Duchów.

Do snu będziem Cię kołysać
 W woni drzew w chłodzie ruczaju
 Będziem pieśni twoje pisać —
 Prędzój! dziecko pójdź do raj!...

Chór Cherubinów.

I o szczęściu będziesz marzył,
 Kiedy w cudnym zańdziesz gaju,
 I o szczęściu będziesz gwarzył,
 Prędzéj! dziecię pójdź do raj!....

.

Czem jest to życie ludzkie?... Ot bańka mydlana,
 Którą w przestwór wieczności rzuca losu siła!...
 A droga przed nią krwawa, cierniami usłana,
 Przeszłością jest cierpienie — przyszłością.... mogiła.

.

Wita pola kochane
 Słowik piosenką
 Wita chaty drewniane
 Dziadek lirenką.

Wędrowali zdaleka,
 Starzy oboje;
 Słowik liczy pół wieka
 Dziadek tyle dwoje.

Na zielonym jaworze
 Słowiczek śpiewa
 „Dobrześ trafił nieboże
 To twoja dziewa.“

Ona ciebie czekała
 W gaiku
 Bo ci serce oddała
 Słowiku.“

A dziad?... szuka kochanki,
 Ale znaleźć nie może,
 Na progu swęj lepianki
 Z lutnią skonał nieboże.

Lublin 6 Października 1866 r.

WSPOMNIENIA

GROBÓW.

PRZEDŚPIEW.

Gdy serce młode — raz co uświęci
 To już na zawsze zostanie w duszy
 A nawet wspomnień młodych w pamięci,
 Życie najdłuższe pono nie skruszy.

O! wielka siła wspomnień młodości!...
 Miłości pierwszej; choć czasem płocha,
 A serce strzeże niby świętości,
 Bo serce ludzkie — raz tylko kocha...

Potem.....o! potem świat ci zabierze,
 Uczucia młode, i młode siły!
 Siądź sobie cicho mówić pacierze
 U krzyża drogiej dla cię mogiły.

A jeśli kiedy zawiędle kwiaty
 Wspomnienia w sercu odżyją

O! nie mów ludziom żeś tak bogaty
Bo ci twe skarby rozbija.

I.

Cicho sina płynie woda.
Nad nią brzoza stoi biała,
Na wygonie owiec trzoda,
Dalej — widna chata mała.
W chacie ściany pobielane,
I podłoga z desek bita,
I obrazy malowane,
Lampa płonie srebrno-lita.
A po skrzyniach cenne szaty;
Znać tu pracę, możność, statek,
I obicia i makaty
I wszystkiego jest dostatek.
Dzień się piękny rozedniewa,
Piękny letni dzień majowy;
Słońce świeci, słowik śpiewa
Na gruszy nie ogrodowej.
Rano widać wstają w chacie
Pierwszy promyk słońca świeci
Już przed chatą na makacie
Skromnie bawi troje dzieci.
Dwóch chłopczyków i dziewczeczka
Piękna gdyby malowana,
Przed nią fraszki i caceczka
Bawią dziecię już od rana.
I ot na próg cichój chaty
Wyszedł starzec siwobrody,
W mnogie lata snać bogaty;
Przecież wiele spłynię wody

Za nim starzec w grób się złoży,
 Taka młodość na téj twarzy,
 Taki czerstwy, taki hoży,
 On o śmierci ani marzy!...
 I uściśnął troje dzieci,
 Bo pociecha to jedyna;
 Gdy młodszego ścisnął syna
 Uśmiech dumy w oczach świeci.
 A syn na pierś skłonił głowę
 I tak jakoś patrzył łzawo,
 Chciał by mówić — lecz mu mowę
 Snać ból jakiś ścisnął krwawo.
 — „Co ci dziecię — starzec pyta
 „Co cię boli — co dolega“?...
 I za jasną główkę chwyta
 A twarz bladą już dostrzega,
 Jak z marmuru kutą słupa;
 Błada — bledsza — ot już sina,
 Starzec miasto swego syna,
 W drżącój dłoni ścisnął trupa....
 Czy to złe wiatry dotknęły dziecię?...
 Czy krwawa chusta wiała zarazy?...
 Trudno odgadnąć. —

Rodzice starzy,

Modlą się cicho, płaczą boleśnie,
 A matka biedna ujrzała we śnie,
 Dziecinę swoją w piękniejszym świecie.
 Niby aniołek z złotemi pióry
 Bieżał wysoko do tronu Boga
 I śmiał się do niej z wysokiéj góry
 „I żegnaj! wyrzekł, matuniu druga“...
 A tu na ziemi ciało dzieciny
 W czarną dębową, włożono trumienkę
 Główkę ubrano w wianek rozmaryny,

I w długą białą sukienkę.
 I cicho, głucho — orszak żałobny
 Na wiejski cmentarz sunie powoli,
 Tam jest krzyż biały — w rodzinne groby,
 Włożono trumnę na świętej roli...
 Noc już w kir ciemny świat przyobleka,
 Jeszcze pod krzyżem świeżej mogiły,
 Modli się rzewnie postać człowieka;
 To brat najstarszy. Zbrakło mu siły,
 Porzucić drogi spoczynek brata,
 A nad nim anioł grobów ulata. —

II.

Płyną wody za wodami,
 Płyną lata za latami,
 Tęskne życie bieży.
 Wszystko jakby w dawne chwile,
 Lecz pod krzyżem na mogile
 Świeże ciało leży. —
 Jesień idzie tęskna głucha,
 Groźno szemrze lipa sucha,
 Na świeżym kurhanie.
 A pod krzyżem jak przed laty,
 Płacze młodzian z białej chaty,
 Że mu łez już stanie?...
 W świeżym grobie pochowana,
 Siostra jego ukochana,
 Płacze za jój duszę.
 — „Czemuś mówi siostró miła
 Tak nas prędko porzuciła
 Ja jeden żyć muszę....
 Ojciec matka — gdzieś daleko,
 W obcym kraju życie wleką,
 A ja sam sierota!...

Ni mnie Ojca, ni mnie matki,
 Zgłiszcza tylko z naszej chatki,
 Pies wyje u płota.
 Siostró moja uprosz Boga.
 — „Niech się skróci życia droga
 Pragnę przyjść do ciebie....
 Tyś aniołek ma jedyna
 Ukochana wszem dziecina,
 Ty żyjesz na niebie.
 A ja biedny sam żyć muszę
 Ludzkie serca?... Tych nie wzruszę
 Bo one ze stali.
 Gdyby chociaż jedno serce
 Gdyby miłość choć w iskierce
 Co to chłodzi — chociaż pali. —
 Gdyby jedno serce brata
 Jam mógł znaleźć w pośród świata
 O byłbym radośny!...
 Słuchaj siostró!... jabym jemu
 Temu bratu kochanemu
 Oddał życie całe!...
 Jabym śpiewał mu piosenki
 Jabym dzierzgał mu sukienki,
 W piękne lilje białe.
 Jabym kwiaty wszego świata
 Zniósł na bukiet w pośród lata
 I równianki wił.
 A gdy do snu szedł na łożo
 Ja mu na skroń wianek włożę
 By o kwiatach śnił.
 Ja bym modlił się za niego
 Do Jezusa kochanego
 By mu szczęście dał.
 Ja bym śpiew mu wysnuł miły

Gdyby piosnki nie bawily
 Na lutni bym grał.
 Opływałby w szczęściu, w złocie;
 Bo dla niego w czoła pocie
 Ja bym złoto kuł.
 Życie by mu szło szczęśliwie
 Tak wesoło, nie tęskliwie
 Jak bym z płatka snuł....
 Próżno mówię — któż mnie słucha?...
 Braci nie z ciała, ale z ducha
 Nie znajdę na ziemi.
 Próżne, zwodne to marzenia
 Jak dziecinne przywidzenia
 Nie bawić się niemi.
 Świat dla siebie, człek dla siebie,
 Brata znajdę chyba w Niebie!...

.
 Noc już w kir ciemny świat przyobleka,
 Jeszcze pod krzyżem świeżej mogiły,
 Modli się rzewnie postać człowieka,
 To brat najstarszy. Zbrakło mu siły
 Porzucić szczątki — siostry — i brata;
 A nad nim anioł grobów ulata.

III.

I znów lat parę minęło skoro;
 Ludzie ci sami — świat tenże sam
 Tylko mogiłek przybyło sporo,
 Za popruchniałe cmentarne bramy.
 Tylko się krzyże chylą ku ziemi
 Jakby i one w grób skoczyć chciały
 I spocząć sobie pomiędzy temi,
 Których tak długo już pilnowały.
 I tam, gdzie krzyże dwóch grobów dzieci

Przybył pośrodku biały krzyż trzeci,
 Zapytaj dziada kto tu spoczywa?...
 A on ci tak tę piosnkę dośpiewa...

IV.

Opowiadanie dziada.

— Nie dawno jakoś było to w wiosnie
 W której to człowiek żyje na nowo,
 I ptaszek nawet śpiewa radośnie
 Panu nad Pany, modlitwy słowo:
 Z dalekiej strony, człek przybył młody
 Lecz taki zawsze smutny i łzawy,
 Jako ta brzoza tu podle wody,
 Co gałąź kryje aż w bujne trawy.
 Mieszkał ot w chacie téj niedaleko,
 Co tu się bieli, tu po nad rzeką,
 I w niej spokojnie siedział dzień cały,
 Jakby nieżywy lub skamieniały.
 A ledwie słońce skryło się w góry
 I niebo nocne zasłuły chmury,
 I ptaki w głębi boru się skryły
 On biegł na cmentarz — między mogily.
 Ot te dwie właśnie, co dwoje dzieci
 Kryją i gdzie on pochowan trzeci.
 Tu klęczał długo przez całe noce,
 I dziwne słowa jakieś bełkoce,
 Niby modlitwy, niby to prośby
 Czasem przekleństwa, i ostre groźby.
 I bił się w piersi, bujne rwał włosy
 I w różnotonne zawodził głosy.
 Raz go podszedłem tu przy mogile
 I wysłuchałem ot prawie tyle:
 „Biedny ja biedny“ mówił młodzieniec,

A na twarz żywy wybił rumieniec,
 I w piersi jakaś snąć pustka głucha
 Bo słowa biegły jak z piersi ducha
 — „Ach! szczęścia tyle marzyłem sobie,
 „I tyle życia w duszy mi drgało!...
 „A dzisiaj — tyle w nim pozostało,
 „Co od spruchniałych kości w tym grobie“...
 „Tu sierota; w obce strony
 „Biegłem piersi ból ukoić,
 „Chciałem kochać być kochany,
 „Chwilą szczęścia się upoić...
 „Nie pragnąłem bogactw świata,
 „Nie pragnąłem jego życia,
 „Chciałem tylko serca brata,
 „Com go stracił u powicia. —
 „I znalazłem serce jedno,
 „Pokochałem go nad życie,
 „A kochałem cicho, skrycie,
 „Biedne życie było — biedne!
 „Długo, długo męki było,
 „Ogniem piekło moje serce,
 „Aż się wszystko w nim spaliło,
 „I w ostatniej już iskierce
 „Tlała miłość. Ja kochałem
 „Zawsze, jednakowo
 „O! dla czegoż go poznałem,
 „Biedne serce, biedna głowo!...
 „Na co tobie myśl tak płocha,
 „On nie kochał, i nie kocha!...
 „Świat dla siebie, — człek dla siebie,
 „Brata znajdę chyba w Niebie“...

I plótl tam jeszcze przeróżne dziwy,
 Czasem tak mądrze jak człek sędziwy,

To kładł się pod krzyż — to znowu wstawa,
 I szepcze cicho imię.... Zdzisława.
 I tak noc po noc na tém kurhanie
 Wyśpiewał serca swego kochanie. —
 Aż raz tu wchodzę rankiem, o dziwy!...
 Patrząc młodzieniec leży nieżywy!...
 Ręce na sercu twarz smętna blada,
 Bezwładna głowa, na piersi spada.
 Targam za suknie, — wołam — nie wstawa,
 Rozkrywam piersi.... O Jezu miły!...
 Tam się litery jakieś paliły....
 Czytam — to było imię — Zdzisława

.....

Lublin 27 Maja 1866 r.

na pamiątkę poświęca
M.

Poświęcił temu, którego tak silnym kochał uczuciem a który
 Mu je i tęskny śpiew czystej duszy Jego niegodną odplacił nie-
 wdzięcznością.

DISŁAW.**Dramat.****OSOBY:**

Lelum, książę.

Polelum, brat jego.

Distaw }
Marn } Margrabiowie feudalni.

Ehea, żona Distawa.



AKT I.

SCENA I.

Komnata w zamku Disława — Ranek — Eheo przędzie.

DISŁAW - EHEA.

DISŁAW.

Eheo — wielką niosę ci nowinę!...

Książę nasz Lelum dziś w moje dąbrowy

Wyjechał łowić pierzchliwą zwierzynę —

A przed wieczorem — gdy ukończy łowy

Zawita do nas wassalów w gościnę. —

Wielkiego gościa trzeba przyjąć godnie...

I aby wiedział że nań już czekamy,

Każ — niech w około zapalą pochodnie

I beczki smołą nalane przed bramy

Niechaj z południa już służba wytoczy.

By widno było jak w pańskiej świetlicy!...

Każ — niechaj wszystkie co najdroższe sztuki

Ze skarbcza mego, zbrojowni, piwnicy,

Na ubiór stołu — podadzą hajduki,

By blaskiem złota ćmiły księcia oczy!...

Bisiorem pokryć te dębowe ławy,

Na ścianach pyszne rozwieszać bisiory.

Stoły na których stać będą potrawy

Przykryć makatą w najbogatsze wzory!...

Niech strażnik z wieży zaraz w róg uderza

A za nim wszystkie moich giermków rogi

Gdy ujrzy księcia — że do zamku zmierza

Gdy jego orszak zobaczy w pół drogi!...

Ja będę spraszał pany i rycerze —

Niech się nasz książę dobrze poweseli —

Każdy z nich poczet ratników*) wybierz
 Z kwiatu młodzieży — waleczni i śmieli.
 Ty zaś Eheo najbogatsze szaty
 I z złota kute włóż na głowę stroje
 Ja także idę do mojej komnaty
 I najbogatszą włożę na się zbroję!...
 Bądź zdrowa żono!

(całuje ją w czoło — i odchodzi).

SCENA II.

EHEA — (wstaje od kołowrotka i przechadza się wolno)

Nasz książę przybędzie
 Do mego męża w wieczorną godzinę...
 I razem ze mną do stołu zasiądzie
 Spełnione moje życzenia jedyne:
 Zobaczę Księcia!... A to pan bogaty
 Sto krajów dźwierży jego dłoń królewska
 Perłami wschodu tkane jego szaty
 W złocistym zamku książę Lelum mieszka.
 Ja jestem piękna... (zamyśla się) On podobno stary,
 A brzydki bardzo! — Ale dla korony
 Jakiejże człowiek nie zrobi ofiary?
 Potrafię godnie dzielić jego trony!...
 I berło — w białe ujęłabym dłonie.
 Jaka ta rozkosz musi być szalona
 Siąść w drogim krześle — złocistej koronie
 Gronem Margrabiów, Książąt otoczona!...
 Na jedno słowo mej wszechwładnej woli,
 (Wszak panujących wola zawsze święta)
 Do nóg się ścielą pany i książęta

*) Ratnik — stary sławiański wyraz znaczący: wojownik — żołnierz.

Nie mówią — aż im król mówić pozwoli
(mówi prędko).

Pamiętam jeszcze byłam u méj matki
Uboga matka — ja byłam uboga —
Gdy raz we wrotach naszej małej chatki
Jakaś kobieta stanęła u proga!...
Stara, skurczona — niby listek drżąca
Gdy wiatr jesienny gałązkami trąca!
Za d-banek mleka i owoców miarkę
Które spragnionój wyniosłam przed wrota
Wróżyć z méj dłoni — starą kabalarkę —
Przyszłości tajnie — zebrała ochota.
Podałam rękę — schyliłam się ku niej
Staruszka długo coś czytała — długo,
Jak kapłan — w dzikiej peruna żenicy
Wzrok z wysilenia krwawą zaszedł smugą
Nareszcie rzekła: Będziesz najprzód żoną
Wielkiego pana. Potem — na stolicy
Królewskiej!... dziecię sięć ci przeznaczono!...
I znikła!...

Ja się zaśmiałam rozkosznie
Z mowy staruszki. A przecież sprawdzona
Jój przepowiednia; bo zaraz po wiosnie
Zostałam żoną... tak Disława żoną...
Ale ta druga?... Ha! właśnie dla tego
Że się sprawdziła pierwsza — ta nie może;
Jam zaślubiona — więc żoną drugiego?...

.....
Czemuż nie?... Książę? — wszak on wszystko może
Wszak prawomocny w swoim państwie Książę?
Podzielię tron z nim — muszę tron — a łożę...
(zamyśla się — cicho)

Z innym. Niech tylko prędzej ślub rozwiąże
Nudzi mnie zamek. Cóż że Disław kocha

Mnie jak boginią? Więcej jak boginie
 (ogląda się trwożliwie)
 Kocham innego — jego ani trocha
 Chcę być królową!... muszę — Disław zginie....
 (słychać głos rogów)
 Otóż i książę — jak prędko przybywa —
 Serce mi bije — będę ja szczęśliwa!
 (wychodzi).

SCENA III.

*Lelum z bratem w bogatych zbrojach — wchodzą pierwsi — na szy-
 szaku księcia korona złota — na ramionach płaszcz purpurowy —
 Disław im towarzyszy — giermkowie — i panie.*

DISŁAW.

Dostojny panie — dzięki składam tobie
 Żeś wstąpić raczył w mego zamku progi
 Rozkaż — a wszystko co ma dom ubogi
 Wszystko jest twoje...

KSIĄŻE.

Nie pragnę ja wiele
 Pragnąć nie mogę!... Lecz po rannych łowach
 (obraca się do rycerzy)

Wszakże od rana — gonim przyjaciele
 Wysmakle łamie po stromych parowach?
 Strudzonym nieco. Każ więc niechaj miodu
 Przyniesie służba z twojego ogrodu. —
 Nawet rycerstwo co mi towarzyszy
 Jak widzę rade o napitku słyszy.

(na znak Disława giermkowie wnoszą puchary)
 Dobrze! więc dalej w puchary panowie

Jako gość — piję gospodarza zdrowie!
(spełnia kielich).

SCENA IV.

Marn z orszakiem rycerzy uzbrojonych — w długim ponsowym płaszczu — wchodzi i staje przed księciem. Rycerze oddają oznaki uszanowania.

KSIĄŻE.

Waleczny Marnie — cóż to widzęz Ciebie?
Przybyłeś dzielić wesołe biesiady?...
Dziwno — boś zawsze tak smutny i blade
Jakbyś Peruna rozgniewał na siebie!
Widzę cię w szrankach i na polu bitwy
Tam, gdzie krew płynie i ciskają grotty —
Gdzie młodź rycerska wyprawia gonitwy
Ale do biesiad — wiem, nie masz ochoty —

MARN (spokojnie nie nachylając przyłbicy).

Mościwy książę — gdy w duszy rycerza
Żalobny smutek i ból zakolacze —
Ten przy rozpuszcie — przy słowach pacierza
W gronie przyjaciół — wszędzie! zawsze! płacze...
Dla niego kielich i uczta wesoła
Nie ma rozkoszy — nie rozmarszczy czoła...
(pochyla głowę na piersi).

KSIĄŻE.

Nie znam twych smutków ni życia mozoły,
Czemu nigdy śmiesznego nie rzekłeś wyrazu —
Lecz chociaż dzisiaj musisz być wesoły —
Pić z nami wino — jeść nasze potrawy.

Kropelka wody w ognisko rzucona
 Największy ogień zagasi od razu
 Nie bądź więc wodą — nie gaś nam zabawy —
 A cóż przyrzekasz?

MARN.

Nie mogę mój książe
 Jest ból którego uczta nie rozwiąże!...
 (obwija się płaszczem i usuwa w głąb).

KSIĄŻE.

Ha! niechaj Poklus — twój smutek poznaje
 Jesteś tak skryty — jak kamień grobowy
 (obraca się do Disława)

Ale i ja mam smutku powód nowy
 Wszakże nam jednej rzeczy nie dostaje...
 (ogląda się)

Braknie kobiety!...
 (Ehea wchodzi z gronem służebnic)

A! otóż i ona!
 Lecz jaka piękna!...

DISŁAW (bierze ją za rękę — składa pocałunek
 i prowadzi przed Księżcia).

Książe! moja żona
 Ehea....

KSIĄŻE — (bierze rękę Ehei z rąk Disława)

Cudne — widziałem ja gaje!...
 Z ścianami z myrtu — podłogą z bławatów
 Na drzewach — ptasząt świegot nie ustaje,
 I słońce wiecznie świeci pośród kwiatów
 I tam jest ołtarz usypany z darnie
 A na ołtarzu w słonecznej jasności...

Lud czci ją wielce — i z darami garnie
Do stóp bogini. Ale ty o pani!
Piekniejszaś jak ta bogini sławiona!...

(Ehea skłania głową — na znak podziękowania)

PAŻ — (wchodzi — staje przed Księciem)

Dostojny panie — uczta zastawiona!...

KSIĄŻE (do rycerzy)

Chodźmyż panowie — ty Eheo z nami.

SCENA V.

*Po wyjściu księcia i rycerzy — światła gasną — komnata ciemna —
Distaw wchodzi — zakłada ręce na piersi — za nim Marn.*

MARN (niespokojnie chwytą go za rękę)

Czemuś opuścił godową komnatę?

DISŁAW.

A ty dla czego błądasz się po salach —
Unikasz ciągle komnaty godowej
Twarz swą obwijasz w krwawą płaszczą szatę —
Sam — jak duch śmierci na powietrza falach
Jak niemy kamień na ziemi grobowej
Tak dziki poświst na brzegach jeziora,
Błądzisz po salach?... Wola twoja twarda.
Marnie! Ty sam podobno mówiłeś mi wczora
Dziwne przecucia kołaczą w mój duszy,
A tego głosu ni śpiew nie zagłuszy,
Ni puhar miodu — ani kobza Barda!...
Słuchaj! mnie dzisiaj coś także grobowo
Jak złota struna na pękniętej lirze

Szepcze do serca. To przecucia słowo
 Jakieś nieszczęście. A! w przecucia wierzę
 Stanie się!...

MARN.

Dziecię! zostaw troski twoje
 Sam idź do stołu — strzeż księcia (cicho — jakby do siebie) i żonę!
 Póki Marn żyje — póty szczęście twoje
 Nigdy na chwilę nie będzie zmacone.
 Chyba!...

(słysząc głos Księcia z przyległej komnaty
 przyzywający Disława)

DISŁAW.

Ach nie mam czasu potu zetrzeć z czoła,
 Muszę biedz prędko — znowu Książę woła!... (wychodzi).

SCENA VI.

MARN (siada na ławie i głowę opiera na dłoniach)

Jak mnie tu pali (pokazuje na piersi) jakiś ogień trawi,
 Mózg tutaj, tutaj (pokazuje na głowę) gotuje się w czaszce...
 Czyliż ból duszy — rycerza nie zdławi —
 Ma żyć — i cierpieć jakby w snu igraszce.
 Straszne sny!... Nie wiem co się w sercu dzieje...
 Włos jak u starca na głowie siwieje
 I jak pargamin wyżółkły jagody.
 Kocham Eheę — a ona jest żoną
 Disława, a jam jemu raz w młodości
 Przysiągłem przyjaźń świętą, niewzruszoną
 Droższą nad wszystkie uczucia miłości.
 I on ją kocha!... Eheę nad życie
 Nad świat i ludzi — miałbym ja podle

Wydrzeć mu szczęście podstępem i skrycie
 Nie — nie ma zdrady na rycerskim godle
 Marna — tak nie ma i nigdy nie będzie!...
 (wstaje)

A to okropne! — czemuż mi nie życia
 Tak dziwnie smutno fatalny los przędzie
 A dawno przędzie — dawno — od powicia!...
 (zrzuca płaszcz i przyłbice)

Za cóż ja cierpię?... sprawiedliwe bogi
 Czyż kiedy grzechem zmazałem swe dłonie
 Czyli z rycerskiej kiedym zбочzył z drogi
 Czy wieńcem hańby — opasałem skronie?...
 Nigdy!... Zawszem się cudzej litowałem bołości
 Zawszem płakał nad ludźmi, a nawet nad kwiaty.
 Raz — pamiętam — bo serce długo dobre pieścił
 Przy naszym zamku — ubożuchnej chaty
 Splecionej z chrustu zdala bieleły się ściany.
 A w chacie ślepa mieszkała staruszka
 Całe jój mienie — był kubek miedziany,
 I przed chatą stara wznosi się gruszka.
 Ja rankiem — ledwie słońce wypłynęło z chmury
 Biegłem z pazim młodziuchnym na zamkowe góry
 I tam w drobnej leszczynie zbierałem orzyny
 By starój z mlekiem podać na śniadanie.
 A! ona bardzo lubiła maliny —
 Garsteczkę jagód spożyć na śniadanie,
 Wówczas jój stara ręka, na dziecinnój głowie
 Mojój spoczęła — a choć w oczach ciemno —
 W cichej jak szmer potoku na dolinach mowie
 Błogosławieństwo szeptała nademną....
 Albo raz — byłem jeszcze bardzo wówczas mały
 Z dziecinną ciekawością jak to robią malce
 Wszedłem w głęboki — ciemny — czarny otwór skały
 Tam — leży się węże, żmije i padalce.

A wśród nich niby perła rzucona wśród błota
 Wyrosła lilija wonna, smukła, biała —
 Wilgoć pokryła liście rdzą o barwie złota
 Pługawem robactwem otoczona cała.
 Wyrwałem ją z korzeniem, zgmiotłem piersi gadu
 Przyniosłem ją do zamku — do naszego sadu
 A gdy pączki rozwiała i rozkwitła cała
 Splotłem z niej wony wianek na głowę Disława.
 (wkłada szyszak i płaszcz)

A! to był sen — on minął czemu śnię jak dziecię
 Czemu kołyszę duszą lubemi obrazy?
 One dawno minęły jak wszystko na świecie
 Trzeba myśli o szczęściu strzedz się jak zarazy —
 Jak rdzy — aby nie zgryzła stalnego pancerza —
 Bo gdy pancerz zrdzewieje i piersi odkryje
 To wówczas bardzo słabe jest ramię rycerza
 I piersi — serce lada grot przebije!...
 (zimno — i przytomnie mówi dalej)

Nie wiem czyli mam wierzyć — ale mi się zdało
 Że oko Księcia na Eheę zbyt czule patrzyło —
 Ona zwykle kobieta — przewrotna i płocha
 Pragnie rozkoszy tylko — dla rozkoszy żyje
 Innemu żoną — a innego kocha
 I często — często bardzo — całując zabije.
 Może da się uwieść czczym blaskiem korony —
 Lelum kocha kobiety — porzuci Disława
 I pójdzie z Lelum dzielić kruche trony
 Choćby w ślad za nią miała iść niesława —
 Disław — on ją tak kocha umarłby z rozpaczny —
 Lecz jemu tysiąc mieczy wraz stanie w obronie —
 Niechaj się lęka Książę, bo wkrótce zobaczy
 Że choć pan wielki — liczne dzierży kraje
 To miecz tak dobrze — do głowy przystaje
 Czy ona w hełmie czyli też w koronie.

Okropne położenie! — widzę milczeć muszę
 Kocham Eheę — skarżyć ją przed mężem
 Lub jemu jadem zatruć serce, duszę
 Bo on jej wierzy — na to trza być wężem.
 Nie ostrzedz? — Disław skona, gdy się o tém dowie —
 (trze ręką czoło — przechadza się chwilę)

Tu trzeba działać, nie przestać na słowie
 (postępuje szybko kilka kroków)

Sam działać będę — na zamkowej wieży
 Marn pójdzie zaraz kaganek zapali
 A na to hasło od Wisły wybrzeży
 Do Warty — zbiegnie tłum moich wassali
 Przytrzymam Księcia!... (zatrzymuje się) i cóż chciałem zrobić
 Nie mam pewności — tylko się zdawało
 Że podczas uczyty godowej widziałem
 Jak przy Ehei stare Książę drżało —
 Ona też chętnie widziała sąsiada
 Na niego patrzy i z nim tylko gada. —
 Zawsze ja pójdę i przykażę straży
 Niech bez mej wiedzy — choćby to sam Książę
 Nikogo za most puścić się nie waży
 Ktoby chciał gwałtem — niech wstrzyma i zwiąże!...
 (wychodzi).

SCENA VII.

EHEA — (wchodzi blada i zmieszana).

Och! jak mi długi ten wieczór się zdaje
 Godziny idą jakby w miejscu stały
 Książę na chwilę pić nie przestaje
 Już poczerwieniał i rozgrzał się cały.
 Pragnę już nocy!... A! wszak noc zapadła
 Lecz na dziedzińcach jasno jak w dzień biały —

Cóżem tak późno dopiero odgadła?
 Że zamek ogniem oświecony cały!...
 Jak mi coś straszno!... Po co bojaźń płocha?
 Postanowiłam — wszakże mówił Książę
 Już ze sto razy, że mnie nad świat kocha
 I że swe życie — z moim jutro zwiąże.
 Czy ja go Kocham?... On brzydki i stary
 Jak siwy kapłan Boga Swiatowida,
 Nie łoże szluby — lepiej robić mary,
 Łzawnica bardziej od łoża się przyda.
 Twarz pomarszczona — rozkoszą wybladła,
 Usta szerokie krzywe jak u mnicha,
 Patrzy tak szklisto — jak nocne widziadła,
 Czuję woń trupa — gdy przy mnie oddycha. —

KSIĄŻE.

Ach Eheo — my gwarzym w komnacie
 A czas ucieka jak przed strzelcem jeleń,
 Puszczaj cięciwę póki na twem oku
 Bo potem — potem — będzie już zapóźno!...
 Eheo pójdź ze mną....

EHEA.

Niech się stanie
 Co się stać miało — Książę idę z tobą (wychodzą.)

SCENA VIII.

MARN.

Przebóg gdzie Książę!... Szukam w całym zamku,
 Myślałem, że ucztę z rycerstwem podziela,
 Wchodzę — by spojrzeć w godowe komnaty —
 Wchodzę! cóż widzę, — Diśław i rycerze —

Niby odyńce osaczone w kniei,
 Legli na ławach twardym snem uspieni,
 A Księcia — niema — Eheea zniknęła.
 Na Swiatowida — czyżby już? hej paziu!

PAŻ (wchodzi)

Nie wiesz gdzie Książę?

PAŻ.

Wyjechał w tej chwili
 Z maleńkim poczem swojego rycerstwa
 Nie wielką bramą, lecz furtką nad Wisłą
 Przeskoczył fosę i zniknął w ciemności.

MARN.

Ha! ja niebaczny — gdym u zwodowego
 Mostu rozkazy wydawał wassalom,
 I wielkie bramy zamykać rozkazał,
 Książę z Eheą uciekł. — Gdzie jest pani?

PAŻ.

Nie wiem — na bogi — nie widać jój nigdzie.

MARN.

Ha! podle węże! — Hej małe pachole!
 Niech wszystkie bramy zamkną i niech ludzie
 Most zwodny spuszcza. — Niech tysiąc ze straży
 Disława, mojej wraz bieży na wały —
 Niechaj nie puszcza za bramy nikogo —
 Rozumiesz? — choćby to był samo Książę.

(Paż wychodzi)

Ja pójdę wstąpić na szczyt wielkiej wieży,
 Zażgnę kaganek — a gdy słońce wstanie
 Jutro — i blaskiem Marna gród oświeci
 Tysiąc wassali na zamek się zleci.

SCENA IX.

LELUM.

Co to jest Marnie — chcę opuścić zamek,
Straż broni wyjścia i twierdzy zuchwale,
Że tyś nie kazał puścić, nawet Księcia,
Strzeż się.... ja mówię —

MARN.

Grozisz! mnie młokosie?

Mam prawo miecza i na wszystkie bogi
Każę zdjąć głowę — jeżeli się kto waży
Rozkazy moje przestąpić lub złamać...
Ja tu pan. Z zamku dotąd nikt nie wyjdzie
Póki ja zechce — Ty i słudzy twoi
Zostaniesz więźniem.

LELUM.

Ja Książę, brat Księcia.

MARN.

— Polelum brat twój uprowadził żonę
Diśława. A czy wiesz książęcy bracie,
Że jeżeli wieśniak do ubogiej chaty
Do dzbanka mleka, lub kawałka chleba
Zaprosi węża — to wąż tam gad podły,
Co śliskie piersi po bagnach przesuwa,
Umie być wdzięczny i nigdy wieśniaka
Nie dotknie żądłem. — A twój brat — pan — Książę —
Pod dach Diśława, — do stołu proszony
Do czary wina, — i puchara miodu —
Dotknął go żądłem, uprowadził żonę —
Widzisz — Polelum pan czcigodne Książę —
A więcej odeń cześci mają węże.

Dla tego świeże wydałem rozkazy,
 Aby nikogo z książęcej drużyny
 Za bramy zamku straż nie wypuściła,
 I ty zostaniesz i wszyscy zostaną
 W zamku Disława jako zakładnicy,
 Dopóki żony Polelum nie wróci
 Będziesz zamknięty w głębokiej piwnicy,
 A gdyby nawet sam dostojny Książę
 Dostał się w ręce moje lub wassali,
 To go powrozem sam natychmiast zwiążę,
 I razem z tobą zamknę do piwnicy!...

LELUM.

Masz rękawicę — dzisiaj w twojej mocy
 Jestem — i darmo próżnąbym wszczął walkę;
 Lecz jeśli wyjdę — pamiętaj rycerzu
 Dostojny Marnie — że mścić się potrafię;
 Zemści się Lelum — o! zemści okropnie
 Za hańbę moją za wstyd i sromotę!...

MARN.

Niech brata Księcia uprowadzą strażę,
 I do ostatniej niech zamkną piwnicy,
 A zaś Książęca straż z nim pozostała
 Niech w jednym lochu — siedzą zakładnicy.

AKT II.

SCENA I.

DISŁAW.

I cóż mi Marnie przynosisz?

MARN.

Nie prawie —

Byłem u Księcia i gdy powiedziałem,
 Że ty się żony upomnisz Disławie,
 Że niechaj lepiej — jak mu godność każe —
 Zatrze tę sprawę cicho i spokojnie,
 Niech odda żonę — ty wypuścisz strażę
 I brata Lelum — Że to niegodziwie
 Zdradzić rycerza i komu? Książęciu —
 On jednym słowem odpowiedział skoro: —
 Nie — dodał potem po niedługiej chwili,
 Że on to zemsty na tobie poszuka,
 Że mu należnych nie oddałeś hołdów,
 Że śmiałeś jego brata okuć, strażę,
 I że on za to ciebie związać każe.

DISŁAW.

Ale cóż Ehea?...

MARN.

Ja jój nie widziałem!...

DISŁAW.

Wiem już, co zrobię, pójdę sam do księcia,
 I u nóg jego w prochu będę błagał
 O przebaczenie. Lelum zaś i strażę
 Książęciu natychmiast dziś odesłać każe.
 Może go zmiękczy pokora rycerza,
 O! niech mi wróci ukochaną żonę,
 Niech mi ją wróci — inaczej — na bogi!...

MARN.

A gdyby żona powrócić nie chciała?

DISŁAW.

Przebóg!...

MARN.

Ja nie wiem czy użyto gwałtu
Ze strony Księcia, by ją wywieść z zamku;
Lecz słuchaj Disław — mnie się wszystko zdaje,
Że Książę bez jęj wolnej, dobrej woli
Ni jej ztąd wywieść, ni trzymać by nie mógł.

DISŁAW.

Marnie! — okropną wlałeś mi truciznę.

MARN.

I mnich, który się sztuką leków trudni
Często wprzódzy zrani nim zagoi bliznę
Ja tak przypuszczam —

DISŁAW.

A ja Marnie muszę
Dociec i wiedzieć, — może Księcia wzruszę,
Może pozwoli wrócić jej — inaczęj
Zrobię rzecz straszną! — niech Poklus przebaczy...

MARN.

Biedny — nie śmiałem odkryć — widziałem Eheę
W bogatęj szacie — w złote uwieńczona kwiaty
Piękna — prawda że piękna — mnie oczarowała,
Gdy wyszła do mnie z nocnej sypialnej komnaty —
Disław może ją kochać lecz ona nie kocha
I nigdy nie kochała — przynajmniej tak mówi,
Powrócić nie chcę wcale — żąda być królową!

LELUM.

Disław się z nami obszedł za nadto łaskawie
Rozkazał puścić wolno mnie i twoje straże,
I rzekł iż sam się stawi przed Księcia oblicze
Złożyć mu hołd rycerza i o łaskę zebrać.

POLELUM.

Jakto — przybędzie do mnie — do mojego zamku?

LELUM.

Tak — czyliż cię to dziwi — czy lęka — czy cieszy?

POLELUM.

O! tak pragnąłem wreszcie schwytać tego ptaka,
I do zielonej klatki zamknąć w moim dworze.
On więził moje straże — ciebie — mnie chciał więzić
Teraz kasać nie będzie — i szkodzić nie może.
Ha! dumny ostrogami i rycerską szatą,
Którą w spadku po przodkach dostał — Disław myśli
Że równy swemu Księciu i z swoją drużyną
I z Marnem — szydzi ze mnie i moich rozkazów.

LELUM.

Panie — on był poddany wierny twego domu,
Bronił ciebie — praw twoich — i twojej korony,
I w dom przyjął gościnnie — tak jako przystoi
Na mężnego rycerza i wielkiego pana
Nigdy cię nie obraził czynem ani słowem
A ty?...

POLELUM.

Ja?... Cóż zrobiłem?

LELUM.

Tyś mu uwiódł żonę.

POLELUM.

Ona sama — Eheä — wywieść się za mury
 Zamkowe dozwoliła — nie jestem młodzieńcem,
 I nie lubię miłosnych przygód — Lecz ta kobieta
 Tak płakała — na takie skarżyła się zgrozy,
 Na cierpienia — że litość owładła me serce,
 Wziąłem ją i na wieki w mym zamku zostanie,
 Nie oddam jej nikomu!

LELUM.

A mnie się nie zdaje.
 Oddasz dostojny Książę, bo rycerstwo całe
 Wszystko łączy się z Marnem — a Marn ty wiesz o tém
 Wszystko oddać gotowy dla sprawy Disława.

POLELUM.

I ja mam wojsko także. —

LELUM.

Niechaj tak będzie
 Jak mówisz — lecz się boję, że będzie inaczej.

POLELUM.

Lelum zobaczysz — czas ci wytłumaczy
 Kocham Eheę — ona będzie moja!...

LELUM.

Ha! więc ostatnia Disława zagąsa nadzieja.
 Nie ma po co w Książęce spieszyć się komnaty
 A nawet gdyby przybył — wszak Polelum mówił —

Każę go wziąć do lochu i rycerskie szaty
 Obedrą z piersi jego. Więc wstąpię na wieże
 Najwyższą zamku wieżę i gdy noc zapadnie
 Zapalę na jój szczycie czerwony kaganiec
 Niechaj wié — że Polelum przebaczyć mu nie chcę.

DISŁAW.

Stało się! Czy widziałeś nad Książęcą bramą
 Marnie — na szczycie wieży ogień zapalony
 Ten znak Lelum wywiesił — znak że nie ma po co
 Stanać przed groźne zawsze Polelum oblicze.
 Więc on chce walki — Marnie — ze mną walki pragnie —
 Będzie ją miał. Wszak pożar iskierka roznieci.
 Pójdą na pograniczne Murgrabiów udziały
 Znam ich — Nie nie znam — może ty znasz Marnie?
 Idź — prosz — powiedz że Książę Polelum pohańbił
 Honor i cześć rycerza — że mu uwiódł żonę
 Powiedz! wszystko im powiedz!...

A! ty nie wiesz Marnie

Jak ja kocham Eheę! Dawno temu będzie
 Z orszakiem giermków moich odprawiałem łowy —
 Właśnie tuż z pod stóp samych mojego rumaka
 Skoczyła płocha sarna i biegła w dąbrowy —
 Ja za nią — Koń mój skrzydła zdał się mieć u nogi
 Tak biegł — Sarna o drzewa zaczęła rogi —
 Pęd jój wolniał — mnie potem oblały się skronie —
 Już ją dopędzam — łuku napiąłem cięciwę —
 Miałem wypuścić strzałę — a w tem sarna pada
 U stóp młodej wieśniaczki — która w tym ustępie
 W dzban cynowy rumiane zbierała jagody —
 Zadrzałem — łuk rzuciłem — i sam nie wiem kiedy
 Znalazłem się przy boku uroczej dziewczyny.
 Ona pot mi starła — podała maliny,
 I w próg chaty ubogiej — bym wstąpił prosiła —

Chata stała opodal — z chruścianych gałęzi —
 Matka jej, mlekiem zaraz tam mnie napiła
 Dziewczyna wzięła kobzę — i pieśni śpiewała.
 Mnie się zdawało Marnie, że ta sama nuta,
 Którą kiedyś na cytrze twoja matka grała
 Przy kolebce sieroty — przy mojej kolebce!...
 Pamiętam jeszcze piosnkę i pamiętam nutę —
 A tak mile do duszy wpadał dźwięk tej nuty,
 Żem pokochał śpiewaczkę — to była Ehe!a!
 Mogłem ją uwieść wtedy — nie — honor rycerza
 Kazał mi ją zaślubić — dziś — ha! czy kto inny
 Może mi skarb odebrać? — Nie wiem już co zrobić.
 Zemstę bogom zostawiam — lecz powinność sobie,
 Dziś ma tu przybyć do mnie Inflantckich rycerzy
 Mistrz Wielki Uldig zwie się — z nim zawrę sojusze,
 I uderzę na Księcia — przysięgam na bogi
 Póty chleba i mleka do ust nie poniosę,
 Póki gniazda rabusia do szczętu nie skruszę!...
 Ty ze mną pójdziesz Marnie — pójdziesz ze mną? —

MARN.

Pójdę!...

DISŁAW.

Co tobie — jesteś blady!... drżysz jak liść osiny,
 Bledniesz, to czerwieniejesz jak owoc kałiny —
 Możesz ty słaby? — powiedz — czy i ty już Marnie
 Masz dla mnie tajemnicę? — może chowasz w duszy
 Jaką truciznę — powiedz — ja wytrzymam razy.
 Marnie — strasznie wyglądasz — upadniesz — na bogi
 Siadaj! —
 Możem cię obrazić, na tej tu ławie
 Jakiem niebaczmem słowem? — powiedz — moja wina —
 Wszakże pamiętasz Marnie — ów lasek Peruna

Gdzie ołtarz władzcy bogów i posąg z kamienia
 Zbudowali kapłani — była noc — i księżyc
 Jasno płynął po niebie — jak łódka na fali
 Cicho było, spokojnie — a my wtedy jeszcze
 Byliśmy dzieci prawie, młodzi, tacy mali —
 Szliśmy przed ołtarz Boga i przyjaźni ślubem —
 Związali się na wieki — ale przy tem ślubie
 Przysięgliśmy — nie w sercu nie chować tajnego —
 Nie ma tajemnic — myśli obcej dla drugiego.
 I wiele lat już wiele mija od tej pory
 A tyś zawsze tak smutny — ponury i blady,
 Milczysz jak niemy posąg — nie cię nie zabawi,
 Na twojej twarzy czytam ciągłych cierpień ślady!
 Unikasz uczt, zabawy — pragniesz śmierci tylko
 Szukasz jój w szrankach Marnie — i na polu bitwy
 Powiedz co ci jest Marnie? — a może osłodzę
 Troski twoje!...

MARN (chwyta go za rękę i przyciska do ust)

Nie!... żegnaj... zdrów jestem — odchodzę
 Zbierać rycerstwo — margrabiów — Książąt (wychodzi).

DISŁAW.

Co znaczy

Ten ponury, żalobny — głos i postać Marna? —
 Od wielu lat już ciągle zamyślony — niemy
 Błąka się na kurchanach — jak posłannik śmierci,
 Jak usta jego palą — jak ogień piekielny żelazo,
 Kiedy mnie pocałował — to mi się zdawało
 Że mnie spali — On... nie wiem... on mnie bardzo kocha
 Więcej jak ja Eheę... miłością szaloną
 Mówił mi kiedyś. — Ja — ja go dosyć lubię;
 Lecz kochać — jakże kochać — mężczyzna — mężczyznę
 Nie rozumiem. Ha może gdyby nie ta miłość

Gdyby nie ona — która serce mi zabrała
 Może jabym go kochał — ale dziś nie mogę —
 Eheä — ona tylko — dla niej tylko żyje!...

AKT III.

ULDIG.

Oto posłaniec przyniósł do ciebie Disławie
 Listy Książęce — weź je i przeczytaj skoro —
 Zobaczym — czego książę Polelum znów żąda
 Od tego, kogo skrzywdził na czci i honorze?...
 Może chce w jakie nowe wejść z tobą układy
 Wdaje się w pisma z tobą — i stylowe walki
 Nie mogąc mieczem zgromić — Lęka się Książątko
 Abyśmy walki nie wznowili — Dobrze
 Że się lęka — ale czytaj — niechże wiem przynajmniej
 Co się tu święci!

DISŁAW.

Spełnione życzenia

Książę łaskawie przychyłać się raczy
 Do mojej prośby — powiada — „Niechaj Grabia Disław
 Jak żądał dziś się z Eheą zobaczy
 I niechaj ona powie kogo żąda
 Za męża — Jego — czy Księcia Polelum.
 Niechaj się stawi dziś, gdy słońceienne
 Połowę drogi przebieży na niebie — do zamku
 Mego — Ja Książęcem słowem
 Zaręczam Grabi — wolność — bezpieczeństwo!“ —
 Mamże jechać — ha, dobrze natychmiast pojedę
 Nadto ufam Ehei — by wątpić na chwilę
 O jej sercu. — Wszak ja ją wydobyłem z gminu

I miasto brudnej — w małej chacie ławy
 Dałem stolicę grabstwa — Choćby też wdzięczność
 Mnie się należy miłość — A! ona mnie kocha
 Toć co dnia z ust jej słyszałem wyznanie —
 Jadę natychmiast!

ULDIG.

A może tu zdrada,
 Chytrego Księcia w tej prośbie się kryje,
 Może chce zwabić w swego zamku mury
 Potem podstępnie — zwiąże i zabije.

MARN.

Ja znam Książęcia — znam — słowem rycerza
 Ręczę, że zdrady nie ma w jego mowie,
 Ręczę, że się nie targnie na osobę twoją
 Wiem że nie skłamię — dotrzyma co powie.

DISŁAW.

Więc jadę.

MARN.

Lecz nie ręczę i ręczyć nie mogę
 Czy twoja żona?

DISŁAW.

O ty wątpisz zawsze

Nie znasz Ehei — ja nadto w nią wierzę
 I wiem że z chęcią pójdzie za mną — do mnie (do pazia)
 Paziu — Rozkaż niech słudzy osiodlają konie
 Niech stu rycerzy wraz siada na konie
 Niech trąby grają — Ty szybko przez błonie
 Na koniu — z mego najbystrzejszym stada
 Bieź w zamek Księcia — i powiedz że Disław

Na jego rozkaz i układ się zgadza
Zaraz przybędzie.

MARN.

Patrz dopisek jakiś
Znalazłem w liście — Czytaj: Gdyby Disław
W zamku Książęcym roztropność porzucił
Zapomniał winnych złożyć hołdów Księciu
I z nim lub z Eheą w zamku się pokłócił
Traci już prawa gościa — i opieki
Książę mu odmawia.

DISŁAW.

Ja się nie zapomnę
Jestem spokojny. Marnie jedziesz ze mną?

MARN.

Jadę. —

EHEA.

Oh! jak mi smutno — jak tęskno w tym zamku
Jak ciężka złota korona, która ja
Tak mieć pragnęłam. Lepiej dawniej było
Gdy byłam młoda — mieszkałam u matki,
Poranne słońce budziło mnie ze snu,
Biegłam na łąkę i zbierałam kwiatki
Potem z nich krasne długie wilałam wianki
Stroiłam niemi okna naszej chatki
Lub brata siostry maluchne kurchanki,
Potem w las biegłam — zbierałam orzyny,
By z mlekiem matce podać kiedy wstanie —
Ona staruszka lubiła maliny —
Garsteczkę malin spożyć na śniadanie.
Potem sarenkę karmiłam — i ptaszki —

Drobne ptaszyny w izdebce chowane
 By mieć w czas słotny zabawne igraszki,
 By słyszeć śpiew ich albo świergotanie!...
 Potem łuk brałem — leciuchny, dębowy,
 Którym mi ojciec ucieszał sędziwy,
 I rzeźwo biegłam po górach na łowy
 A za mną pies mój — wielki brytan siwy.
 Potem... mnie Disław wziął do swego zamku
 Na kobiercami obite komnaty —
 Dał cytrę — kobzę — grono sług i paziów
 Z złota i pereł wielki strój bogaty,
 I tam gdzie słońce zabłysło w komnacie
 Sypialnej mojej — wołałam służebne —
 W lekkim zawoju — białej rannej szacie
 Śpiewałam pieśni — i na kobzie grałam,
 Potem z sokołem przebiegałam góry
 A ze mną orszak panów i rycerzy —
 Sokół biegł chyżo — wysoko nad chmury
 Chwytał przepiórki — czaple — i żorawie.
 A potem w zamku zastawiano stoły
 Bardowie grali — a książąt i grabiów
 Codziennie orszak zasiadał wesoly,
 I usypiałam na łonie Disława.
 Dziś siedzę w zamku, jakby pokutnica,
 Jak czarne mury — jak twarze ponure,
 Jaka posępna sypialna świetlica
 Polelum — stary brzydki jak Swiatowid
 Służba milcząca — oh! — okropne życie —
 Lecz jestem panią — królową — to dosyć —
 Można zapłakać — i pobołeć skrycie,
 Lecz miło kiedy panujące głowy
 Spieszą mi hołdy składać swe — a żoną
 Disława — byłam nie tylko poddaną —
 A mnie panować — w niebie przeznaczono!...

Polelum stary umrze — wówczas sobie
 Pojmę za męża... bo jest człowiek jeden,
 Którego kocham nad wszystko we świecie
 Marn — jego pojmem — na tronie posadzę!
 On piękny — młody — ale widać serce
 Jakiś okrutny robak żądłem toczy,
 Bo nigdy śmiechu nie widziałam w twarzy
 A łzami — zawsze ma zamglone oczy.
 Wiele już razy chciałam go pocieszyć
 Chciałam mu odkryć — że go kocham, cenę —
 Ale się bałam — zresztą sam powiedział
 Pani — ja się już nigdy nigdy nie ożenię.
 On tylko widać ukochał Disława.
 Bo raz gdy zasnął w zamkowej komnacie
 Ja uśpionemu z żelaza ulany
 Hełm co ciężarem blade czoło gniótłem
 Chciałam uchylić — by nie zrobił rany —
 Podeszłam cicho — zdjęłam szyszak z głowy
 I — na pobladłem czole margrabięgo
 Złożyłam — całus — wówczas on — zbudzony
 Ze snu swej duszy, bo ciałem spał jeszcze
 Mówił — pamiętam — „Disławie tylko ciebie kocham.“

PAŻ.

Pani — jakiś rycerz obcy
 Pragnie się widzieć i o posłuchanie
 Prosi.

EHEA.

Jak on wygląda i co mi przynosi.

PAŻ.

Nie wiem — nie odkrył szyszaka z oblicza,
 Nie rozwarł płaszcza — nie rzucił koncerza

Twarz mu żelazna zakrywa przyłbica —
Chcę z tobą mówić.

EHEA.

Proś go niechaj wejdzie.

(Marn wchodzi)

Kto jesteś rycerzu?...

MARN.

*Pozwól niechaj milczę

Nazwisko moje nie tutaj nie znaczy —
Jestem rycerzem o chwilę rozmowy
I posłuchania proszę.

EHEA.

Mów więc panie.

MARN.

Wiesz już zapewne, że książę Polelum
Przegrawszy walną z Disławem rozprawę
Zgodził się, aby sąd twój raz rozstrzygnął
Czyją ty żoną — jego czy Disława?
Otóż tu Disław za chwilę przybędzie
W zamek Polelum — (kłęka) a ja błagam ciebie
Na klęczkach błagam wybieraj Disława,
On ciebie kocha — nad świat i nad Bogi,
Umrze bez ciebie. Czy chcesz być królową?
Dobrze — ja zbiorę wszystkich mych wassalów,
Drużynę książąt, margrabiów granicznych
Pójdę na bitwę — zawojuję całą —
Przyjmę chrzest Niemców — a wówczas król królów
Cesarz Cesarzów jak Giermany mówią;
Papież koroną ozdobi me skronie
Tobie ją oddam... i będziesz królową!...
Ale Disława wybierz pani — błagam

EHEA.

Powiedz kto jesteś, ażebym wiedziała
Czy mogę wierzyć słowom?

MARN (odkrywa przyłbicę)

Patrz — kto jestem

EHEA.

Marn!... — O! przeczułam ciebie pod tą zbroją.

MARN.

Czy możesz wierzyć?

EHEA.

Wierzę — lecz niestety
Nie mogę mówić, ni wybrać Disława
Bo go nie kocham! —

MARN.

A kogóż więc?

EHEA.

Ciebie!...

MARN.

Pani co mówisz? zastanów się proszę.
Mnie kochasz? ty? — mnie! A! to być nie może!
Na dźwięk słów twoich już czuje rozkosze
O! biada — zabij mnie piorunów Boże
I ja cię kocham!... Nie kocham cię pani —
Źle powiedziałem!... nie wierz i nie słuchaj!
Taką balladę śpiewała mi matka:

„Stoi zamek na górze
Wielki zamek bogaty
Ze srebra w nim podłogi,

A ze złota komnaty.
 A w złoconej komnacie,
 Gdzie purpurowe łoże,
 Na jedwabnej makacie
 Pan snu znaleźć nie może!...
 Bardowie pieśni grają
 I miodu płyną strugi,
 Służalce się weselą
 Pan — smutniejszy od służi!
 I zagrzmiało na górze —
 Piorun to sprawiedliwy —
 Tam gdzie bogate łoże
 Padł piorun zdradliwy.
 Czarna chorągiew wieje
 Czarne w zamku komnaty
 A drużyna się śmieje,
 Że umarł pan bogaty.
 Chowają w popielnicę
 Szczątki wielkiego pana —
 Przy nim stawia łzawnicę
 Płacze matka stroskana.
 Lecz nie długo popioły
 (Widać grzechem skalane)
 Ziemia precz wyrzuciła —
 Leżą nie pogrzebane.
 I za cóż tego pana
 Każe grzech Pochwiściciela?
 Już zbrodnia jego znana
 On! zdradził przyjaciela.
 Pani — kocham Disława — Disław ciebie kocha
 Bądź mi zdrowa — wiesz wszystko!...

EHEA.

Jeszcze jedno słowo!

Ja nie kocham Disława — nie kochałam nigdy
A ciebie dawno... dawno... dawno —

MARN.

Przestań pani!...

Przed ołtarzem Peruna przysięgłem, lat wiele
Płynie od tego czasu — przyjaźń dla Disława —
I miałbym jego zdradzić teraz, gdy najwięcej
Potrzebuje przyjaźni — Nie!... o! nie! Wiedz pani
Że i ja ciebie kocham — kocham czy rozumiesz? —
Ale nie wydrę serca, które Disław kocha —
Chcę zapomnieć o Tobie — i zapomnę pewnie;
A jeżeli chcesz dać pani dowód że mnie kochasz
Że prawdą twoje słowa — błagam cię, raz jeszcze
Wróć na zamek Disława — bo umrze z rozpaczy,
Gdy się dowie że wolisz koronę niż jego!
Bądź zdrowa! —

(odchodzi).

EHEA.

Marnie — Marnie pozostań — i o! Boże!
Poszedł — wzgardził miłością i sercem kobiety —
Dobrze — niechaj się dowie, że mścić się potrafię
I zemszczę się okropnie — okropnie — niestety!

PAŻ.

Książę Polelum — prosi ciebie pani
Do swojej sali —

EHEA.

Powiedz że tam przyjdę —

Zmiana — sala księcia.

POLELUM.

Eheo — Disław twierdzi — że go kochasz

Na twój sąd czeka — wybierz między nami
Mnie albo Jego —

DISŁAW.

Eheo! — litości
Trochę nademną — za poświęceń tyle
Nie dozwól — bym się z żalu położył w mogile...

EHEA.

Polelum — kocham ciebie i z tobą zostanę.

DISŁAW.

Ha! to zdrada piekielna — kobieto — kobieto!
Masz ty serca kruszynę? — serca i litości?
O! wszystkie jędze piekła — bogi i szatany,
Tyle złości nie mają wiele ty masz złości!...
Gardzisz mną — bierzesz starca — może dla korony —
Może ci pochlebiają hołdy tych rycerzy —
Może wabię złocistym blaskiem kruche trony? —
Powiedz — a ja dla ciebie także tron zbuduje —
Będziesz panią — królową pójdź ze mną.

EHEA.

Nie pójdę!...

DISŁAW.

Umrę lecz i ty także, niegodziwy książę,
Nikczemny starcze, ze mną skryjesz się w mogile,
(chwyta miecz)

Tobie śmierć najprzód —

POLELUM.

Do mnie tu rycerzu!

Więzienie.

DISŁAW.

A! jak tu ciemno — grobowe powietrze
 Kamieniem piersi ciśnie — jakieś gady
 Ślizgają się po ciele piersią lodowatą.
 Jak tu smutno — boleśnie — a nie dawno jeszcze,
 Gdym w złoconej mojego zamku był komnacie
 Czy myślałem — że wkrótce rzucą między gady,
 Mnie — i komum — komu to winien — kobiecie!...
 Gdyby choć kto tu przyszedł — wszyscy zapomnieli —
 Tylu przyjaciół miałem — kochało mnie tylu,
 Gdym rozdawał lenności — złota i ostrogi —
 A dziś! — dziś zapomnieli — że Margrabia Disław
 Żywcem został do grobu ciemnego wrzucony.
 Oh! jak tu zimno — wstrząsają mnie dreszcze —
 Nie mam siły odetchnąć — Boże, kto tu wchodzi
 (Marn wchodzi)

Może Polelum pragnie zemsty jeszcze
 Małoż jej ma tu ze mnie?

MARN.

Mylisz się Disławie

To ja!...

DISŁAW.

Marnie! o Marnie! Więceś ty mi tylko
 Z całego świata został — przyszedłeś pocieszyć
 Siadaj tu przy mnie bracie i zapal kaganek
 Podaj mi rękę — może odetchnę przy Tobie
 Może mnie ogień jeszcze twych piersi ogrzeje!...
 Czy słyszysz miły bracie, jak się nasze życie

Pali aby zagasnąć i ulecieć z dymem? —
 — Marnie czy ja mam umrzeć — o! ja umrę pewnie,
 Polelum nie przebaczy — ja się lękam Marnie
 Śmierci — za życiem będę płakał rzewnie
 Jestem dziś senny — jakiś — może sen ogarnie
 Strudzone członki moje — nie chcę mówić z tobą.
 Słyszeć głosu twojego!... Wszak ty znasz mnie dobrze —
 Wiesz, żem nigdy ni sercem nie pokpił, ni głową
 A przecież — bogi karzą! — Ja kochałem ludzi
 Kochałem świat i wszystkie piękne na nim twory,
 Wszystko co piękne, lub co pięknem ludzi —
 Pamiętam — może Marnie ty pamiętasz także —
 Biegliśmy po rozkosznej nad Wisłą dolinie
 Gdy jakiś wieśniak topił małe szczenie —
 Psina — to znika to znowu wypłynie
 Pasuje się z falami — już braknie mu siły —
 Krwawy pot trudu z pyszczka mu się toczy —
 A w jego wzroku taki ból się mieścił,
 Taką prośbą, bojaźnią tlały jego oczy —
 Żem poskoczył na fale — i z stromej głębiny
 Dobyłem ciało jeszcze żywe ciało psiny —
 Widzisz ja miałem serce — Opowiem ci jeszcze
 Gdym się błakał samotny na górach Peruna
 Ujrzałem raz w jaskini — jak dno piekła ciemnej —
 Kwiat lilii białej — piękny kwiat na bogi —
 Wzrosła na zrębie skały we mchu i poroście —
 Robactwo jakieś czarne toczyło lodygę —
 Ja rozerwałem skałę — pogniotłem robaki,
 I liliję z korzeniem wyniosłem na słońce.
 Zasadziłem przed oknem sypialnej komnaty,
 A gdy potem urosiła — i pączki rozwiała
 Tyś z niej pozrywał wszystkie, wszystkie kwiaty,
 Splotłeś wianek — i z rana gdym spał jeszcze w łożu
 Tyś nim ubrał mi skronie. Pamiętam to Marnie?

I wiele rzeczy... — czekaj — wszak umrę niedługo
 Niechże więc całe życie postawię przed oczy —
 Pamiętam dobrze wszystko jakby to dziś było!...
 Staruszkę matkę twoją — sędziwego ojca,
 Który nas uczył łuku i grotów używać
 Pamiętam, gdyśmy zimą siedli przy kominie —
 Suchą dębina trzaska i płomieniem bucha —
 Matka twa brała kobzę i jój ręką zwiędła
 Cudowne nuty — pieśni ze stron dobywała.
 Lub — z gronem swych służebnych i rycerskich paziów
 Krwawe ballady — dumy smutne nam śpiewała.
 W lecie — tyś wstawał rano ledwie weszło słońce
 Choć często snu pragnąłeś — a wstawałeś dla mnie —
 Giermek wiódł cię w zielone nad Wisłą równiny
 Tam kraśne wonne kwiaty po łące zbierałeś,
 Lub drobne ptaszki z gniazda lub sarenkę młodą —
 Wracałeś do komnaty — z kwiatów plotleś wianek —
 I kładłeś na mą głowę — lub łoża wezgłowie
 Zasiewałeś kwiatami — i ja spałem w kwiatkach
 U nóg — sarenkę — mając ptaka albo wydre —
 Gdy mnie zbudził ich szelest albo woń kwiatowa
 Jakież to było szczęście — całowałem kwiaty
 I pieściłem zwierzątko — ciebie — naostatku.
 A tyś stał przy wezgłowiu — i ciche łyzy ronił,
 A sypialna komnata — widzę ją przed sobą
 Choć już lat tyle, tyle przeszło od tej pory
 Dwa wielkie okna widzę — po których kalina
 Wrzos dziki — powój i długi bluszcz skalny
 I pełna krasnych jagod — smukła jarzębina
 Wiła się jak w obrazie. Przy oknach tych pominię
 Stało wezgłowie moje, by najpierwszy promień
 Powstającego słońca zaglądał mi w oczy —
 Dalej — twoje — podłoga makatem zasłana
 Nad łożem moim cytra ze złotymi struny

Na której grać cię pięknie nauczyła matka —
 Jakaś balladę — ty mi ją grywałeś —
 Co rana...

(śpiew)

O! na bogi słyszę tę balladę —
 To ta sama... czyżże głos — czy po głos do grobu
 Czarnego tu dochodzi — och! Marnie mój Marnie
 Daj mi życie — ja żyć chcę — żyć — żyć jeszcze chwilę
 O! Perunie nie karz mnie — Nie karzcie — Bogowie
 Miejcie litość...

Ja błagam o życie!...

Co tobie Marnie — płaczesz? płaczesz powiedz czego
 Po mnie płaczesz mój drogi? — płacz — płacz za mną Marnie
 Ja mam umrzeć niedługo i — umrzeć taki młody!...

KAPŁAN (wchodzi)

Książę Polelum — nasz pan Miłościwy
 Na Margrabięgo Disława ten wyrok wydaje —
 By za obrazę Księcia — i za zbrodnię ową,
 Jaką Disław na jego chciał czynić osobie,
 Margrabia został żywcem spalony na stosie
 Nim słońce jeden okrąg zrobi dziś na niebie.

DISŁAW.

Umrzeć — umrzeć na stosie — litości! kapłanie
 Patrz! oto idzie stara matka moja
 Patrz jako po jej oku i zwiędłej źrenicy
 Cieką łzy — chwila jeszcze — a już łez nie stanie
 Będzie pusto w jej oku — jak w nocnej świetlicy.

Zmiana — stos — Marn przy stosie zakryty przyłbicą.

PAŹ.

Patrz! oto sługi twoje, wassale, giermkowie
 Wszyscy cię tak kochali — spojrzij na nich panie

Któż ich na bój powiedzie — ha! i któż im powie
 Jutro — pójdziem na łowy — ledwie słońce wstanie —
 I złotym blaskiem zamku oświeci mogiły?
 Patrz, oto koń twój kary — rzy jako przy żłobie,
 Gdy ci za kasek chleba lizał ręce obie,
 Czuje, że go to ręce nie będą pieściły
 Panie — żyj z nami! — zostań — my wszyscy za ciebie
 Skoczym w ten stos płomienny.

MARN.

Zobaczem się w niebie
 Przed tronem Światowida!

(wchodzi na stos)

Bądźcie zdrowi! szczęśliwi!... A gdy ogień stosu
 W proch spali ciało moje — włóżcie w popielnicę
 Szczątki waszego pana a przy nich łzawnicę
 Postawcie — lecz nie płaczcie za mną jako dzieci.
 Łza wyschnie — prędko wyschnie — w łzawnicy zostanie
 Wilgoć — rdza — z niej robaki wylęgną się na dnie...
 A gdy po latach wielu jaka ręka obca
 Odkryje tę łzawnicę — przestraszą go gady —
 Dech zgnilizny uderzy — pokruszy łzawnicę
 (do sług)

Zapalcie stos... o tak... teraz bądźcie zdrowi
 (płonienie go ogarniają)

Wszystko co mam zamki i lenności
 Sługi konie i zbroje, daje Disławowi
 Żegnam go... żegnam!...

DISŁAW.

Przebóg i komuż ten stos zapalacie?
 Kto to za mnie śmierć straszłą ponosi? —
 To Marn-Marn... on w płomieniach kona!...
 Czekaj! czekaj! mój druchu — nie powiedzą ludzie,

Że Diśław jest niewdzięczny!... Świat nas tu rozłączy
A więc nas niebo na zawsze połączy!...
wskazuje na stos)

A teraz wy zebrani zanieście Ehei
Ostatnie słowa zmarłego jej męża:
Przeklinam ją — przeklinam! przekleństwem Peruna
Ją przeklinam i podłego węża
Jej uwodziciela — Książęcia Lelum!...
Przekleństwo! przekleństwo!...

(kona).

KONIEC.

„Morituri te salutant.“

Wielka — wielka! mogiła pokrywa grób zapełniony
prochami wieków!

Tłumy przechodzą — niby cienie znikome.

Powstają — w tumanie obłoku postępują i — nikną
we mgle.

A każdy cień — rzuca kwiat — na przystrojenie
wiekowej mogiły!...

I różne kwiaty — jak cienie różne...

Wspaniałe, piękne, wonne!

I polne astry zerwane na łąkach, i nieśmiertelniki
złocisto-listne.

A przecież i te ubogie ofiary przyjęte —

Bo każdy kwiat ma zbudować pamięć — ma wzniesić
nagrobek na mogile ofiarników.

I każdy kto dorzuci choćby liść jeden ma zasługę!

Nie sądzą po ofierze — ale po sercu z jakim dana.

Po myśli jaką pieści!

Po owocu jaki przyniesie!...

Błogosławiony grosz ubogiej wdowy!...

Ludzkości! przynoszę tobie koronę i nic: nic ze
złota, a korona z niczego — weź co chcesz.

A. SÓLTANOWSKI.

Z lewej strony Świsłoczy, na stromej, niezbyt wysokiej górze, przed stu laty bielily się mury olbrzymiego zamku.

Potężna to budowa, znać gniazdo możnego pana.

Czas prześliznął się na jego barkach pasmem wieków i za całe znanie swego przejścia zostawił tylko nieco pleśni na omszałych murach. Czy bał się dotknąć olbrzyma? bo nawet jednego kamienia nie wydarł z jego całości, jednej nie zostawił rysy...

Stoi dumny swoją potęgą jak kolos Rodyjski, zawieszony nad przepaścią, i zda się urągać światu. —

A stoi cicho, spokojnie, niby olbrzymie bóstwo milczenia. —

Zdawało się patrzeć na nieruchomą jego postawę, słysząc wieczną do koła panującą ciszę, że życie zamarło w jego granitowej piersi, że żadna ludzka istota nie ożywia jej swem tchnieniem.

Tylko u spodu góry Świsłocz szemrała i to cicho, żalśnie by się lękała głośniejszą nutą, rozbudzić życie

olbrzyma. Czasami zielony jodłowy las, co rozparł się szeroko pod jego bokiem, jęknął donośnie, jakby się chciał pożalić Stwórcy, iż mu tak milczącego przeznaczył sąsiada, a i ten przerywał w pół wysnutą piosnkę, której koniec na skrzydłach wiatru, pognął gdzieś w świat szeroki. —

Natura szanowała milczenie ludzi.

Nigdy skowronek nie zakwitł na omszałym dachem, uciekał chyżo, gdy go owiała trupia, martwa atmosfera, zostawiał pole sowie i wronom, które same jedne tą okolicą zawładły.

A przecież nie zawsze zamek był tak cichy i ponury, przed kilkunastu laty grało w nim życie, panowała weselość. — Pan tego grodu Jan Kazimierz C... nie zamykał bramy przed licznymi gośćmi, obszerne sale słyszały co dnia huczną muzykę, o czarne ich sklepienia odbijał się odgłos żwawego tańca. Nie jedną beczkę soli i miodu w nim wyprózniono, nie jedną wygoloną nakieroszowano czuprynę, nie jeden trup nieprzyjacielski gnął pod jego stopami. — Nagle wszystko ucichło jakby anioł zniszczenia i śmierci dotknął go palcem karzącym.

Pani umarła... Straszne te słowa, jak grom obity się o ściany zamczyska, o uszy mieszkańców, zostawiając wszędzie podobnie jak i ten czarne pasmo smutku i niechęcia. Muzyka ucichła, gwar uleciał, bramy zaparto... może na zawsze. Jan Kazimierz zamknął swą boleść w głębi ścian czarnych, lękał się towarzystwa ludzi, ono nie zablizni ran duszy. On kochał żonę tem uczuciem silnem, głębokiem, namiętnym, co raz tylko w życiu zakwitnie w sercu człowieka, podcięte kosą śmierci, więdnie, usycha, i pozostawia bezdnią niczem niezapełnioną.

Z początku wściekłość odzywała się w duszy, czarne myśli snuły w sercu i głowie; uderzał nią o mury swój komnaty, a mury głuchym tylko odpowiadały jękiem, jakby lękały się przyjąć cząstkę ludzkiej bolesti. Dnie całe le-

żał w prochu, bez władzy i woli, jakby ten straszny cios sparaliżował wszystkie siły ciała i ducha. Bo też boleść jego była ogromną — a ten ją tylko pojąć zdoła, kto sam cierpiał jak on — przeżył jak on. — Sechł, wiął, zmniejszył się i zgarbił; ziemia ciągnęła go ku sobie, bo w niej spoczywała jego Halszka.

Czas — cudowny lekarz, częściej zabija, ale za to i wyleczy. Po kilku miesiącach rozpacznych konwulsyi ducha, Jan Kaźmierz przychodził do siebie. Nastąpił drugi peryod śmiertelnej choroby moralnej — spokojny, cichy, bezwładny smutek.

Ten smutek, co jak jad wysysa się w krew, w szpik kości człowieka, zadaje miliony ran, aż ten człowiek na próżno walcząc z przemożnym nieprzyjacielem, upadnie pod jego ciosami — upadnie aby więcej nie powstać.

Jedyną pamiątką pozostałą starcowi po zmarłej żonie była córka nadobna Hanna. — To całe jego szczęście, życie, miłość, pociecha... a z czasem to przywiązanie ojca powiększało się stopniowo i uciszało boleść.

Dziwne serce człowieka!!...

Zadaj mu najboleśniejszą ranę, przeszyj na wskrós cierpieniem, rozłącz na wiek wieków z sercem, które ukochało, będzie się szarpać, jak niewolnik pod czas burzy przykuty do pokładu galery, będzie wstrząsać ogniwami swych kajdan — a rzadko, bardzo rzadko, je zerwie. — A niech tylko znajdzie się ktoś, co pieszczotą będzie ci ujmował po kropelce palącej trucizny, ktoś — na czyjej twarzy dobrowolnie mogą pociec łzy twoje, czyj oddech ostudzi żar twej piersi — już się nie potrafisz wydrzeć z uroczego objęcia pieszczoty, zapominasz przeszłości — Kochasz go!...

Tak się działo z Hanną.

Codziennie szła do nóg ojca popłakać z nim razem, lub obetrzeć łzy jego; szła przytulić piękną główkę do

zbołałego serca, przyglądzić białą ręką siwe włosy starca; on też powoli stopniowo przywiązywał się do niej — przywiązywał namiętnie. Lękał się Hannę pokazać światu, bo świat powabny, ułudny — porwie, przynęci i starcowi pozostanie znowu tylko — boleść.

Krył ją starannie przed jego okiem w złocistych komnatach, jak skąpie skarb zebrany krwawą pracą całego życia. Czasami znowu szalone myśli wiły się w biednej głowie męczennika; chciał z nią uciekać daleko, od ludzi, od świata, do grobu.

Jan Kazimierz był charakteru żywego i popędliwego; każde chociażby najłżejsze uczucie silnie nań oddziaływało, a z czasem ryło się w jego duszę jak niczem niestarte piętno. Taką właśnie była miłość dla Hanny. Powstała szybko — rosła szybko, powiedzieć można przechodziła już granice miłości rodzicielskiej — jeżeli tylko miłość ta ma swoje granicę. Nie pojmował ażeby mógł znaleźć się siła, która by go z nią rozłączyła; bo on do życia potrzebował jej czarnych oczu, jej ust, jej serca.

A Hanna?... kochała ojca sercem córki. Niestety! dla ojca było to za mało. On pragnął czegoś — czego nie pojmował, ale czuł że Hanna daje mu za mało — miłość jest jasnowidząca. Ona dać więcej nie mogła — kończyła rok siedemnasty, i to serce jej rwało się z głębi czarnych murów, do świata, do życia, którego ojciec tak się lękał, aby mu nie porwał dziewczeczki. — Pragnęła, wyglądała, sama nie wiedząc dokąd patrzy. A starzec, widząc ją często wspartą przez długie godziny nocy na kracie okna sypialnej komnaty, wpatrującą się w dal, w księżyc srebrzysty, co pięknie płynął na błękitnej niebios oponie, na drżące gwiazdy, zieloną łakę... drżał i załamywał ręce. Był samolubem, pragnął tylko szczęścia dla siebie — ale nie był temu winien — on cierpiał. — Czyż rozbitek nie roztrzaska ci głowy, jeżeli zechcesz wydrzeć mu deskę

na której wisi jego życie?... Hanna dla Jana Kazimierza była deską zbawienia —

I tak powoli, jednostajnie, płynął czas w starym zamczysku; Hanna tęskna, ojciec skolatany zazdrością i cierpieniem. Nawet dworzanie, jakby ich owiało mroźne powietrze boleści pana, milezący, chłurni, przesuwali się po wielkich dziedzińcach, jak mary strzegące grobu.

Czarne chmurki zbierać się poczęły na horyzoncie kraju, aż się zwały w jedną czarną grupę, która nad nim zawisała i wieczną nocą zda się chciała go pokryć.

Szwed wstąpił w granice Polski.

Ta wieść jak błyskawica przebiegła w głowie Jana Kazimierza, jak grom uderzyła całe jego jestestwo. Kraj wyciąga błagalne dłonie — żebrze u swych synów obrony — on Polak — bronić go powinien!...

Tyle zasłyształ o nieszczęściach, o klęskach które padły na rodzinną jego ziemię, iż całemi siłami postanowił odemścić się za jej haniebnny upadek — postanowił się bronić do ostatniej kropli krwi. Zamek powoli ożywiać się zaczynał. Wały i baszty jeżono spiżowemi armat paszczami, rycerstwo gromadzić się poczyniło do obronnego grodu; czyszczono broń, zwożono amunicję i żywność. Zamek silny — dobrze uzbrojony, mógł stawić czoło najezdcom. Ociężałość, rozpacz, wszystko jakby cudem znikło z czoła Jana Kazimierza; stał się czynny, przedsiębiorczy w nieszczęściu, był wszędzie; wszystkiego dojrzał, dopatrzył, poprawił. Czarna jego zbroja nabita srebrem, migiała w dziedzińcach, na wałach, w komnatach; sił i życia w dwójnasób mu przybyło. — On — Jan Kazimierz C... kasztelan wileński — może tylko zwyciężyć lub zginąć!...

Z odwagą w sercu, spokojnością w duszy oczekiwał nieprzyjaciela.

Nadeszła chwila stanowcza — krwawy Wittemberg stanął pod murami zamku. — Szwedzi jak mrówki rozsypali się do koła, po górze, wałach, lesie, że ich oko dosięgnąć nie mogło. Rozbili namioty i całe zameczysko białym otoczyło się wieńcem.

Minęło dni kilka — Szwed nie przypuszcza szturm, Wittemberg czeka aż obrońcy ustraszą się sił jego i zdadzą bez oporu na łaskę. Wszakże przywykł już do podobnego zdobywania obronnych zamków. Kasztelan się jednakże nie ustraszyl — Wittemberg czekał nadaremno.

Jednego dnia, trąbka parlamentarza zagrała u zwozzonego mostu; gruby, prosty róg strażnika odpowiedział na to pytanie. — Wittemberg chce wejść w układy — wszakże to chwala pobić nieprzyjaciela siłą samego imienia. Brzękły łańcuchy — most opadł, parlamentarz wpuszczony do zamku.

Kasztelan siedzi w rycerskiej sali, otoczony przedniejszymi pany, w czarnej zbroi, szkarłatnym płaszczu; wesołym okiem spogląda na wizerunki przodków, które obsiadły poważnie ściany komnaty — zda się im mówić: jam godny was!...

Wprowadzono oficera Szwedzkiego — kasztelan brwi zmarszczył i machinalnie sięgnął ręką głowni miecza.

— Czego chcecie?... zapytał ostro, krótko — jakby nie chcąc wchodzić w długie rozprawy.

W tejże chwili przetykana złotem zasłona drzwi bocznych uchyliła się nieco, i ciekawa główka Hanny wlepiła w przybyłego dwoje jasnych błyszczących oczu. — Nie dziw. Ona tak pragnęła widoku obcego człowieka — a Szwed to obcy — tyle o nim słyszała, jeszcze będąc w kolebce. I było na co patrzeć — młodzian był piękny. Dumnie pokręcił czarnego wusa, jakby chciał wzgardzić

wzgardę zapłacić — ale gdy ujrzał tyle twarzy szlachetnych i gniewnych, tyle oczów zwróconych na siebie, co lśniły jak rozżarzone węgle pod żelazną przyłbicą, uląkł się, opuścił rękę i wzrok. Po chwili opamiętał się, wrażenie znikło.

— Generał, odrzekł, przysyła wam przez usta moje przebaczenie; jeżeli natychmiast złożycie broń, przyrzeka życie mężom, honor żonom i córkom; inaczej zamek gruzami i trupem zaściele.

Kasztelan powstał na te obelżywe słowa, twarz dziwnym zatlała ogniem, kilkanaście rąk sięgnęło po miecze. Szwed cofnął się krokiem.

— Idź! zawołał nareście Kasztelan, idź powiedz twemu panu, że zamek się nie podda, bo go bronią szlachetni rycerze, co nie tak łatwo pozwolą wydrzeć sobie życie i honor!...

Odwrócił się i znikł w przyległej komnacie dając posłowi ręką wymowny znak: pójdź precz.

Młodzieniec rzucił okiem za odchodzącym w chwili gdy ten podnosił zasłonę drzwi. Ujrzał Hannę, zadrżał, i oblał się szkarłatem.

Przebudził go głos ostry i dumny.

— Twoje posłannictwo skończone.

Był to głos jednego z rycerzy. Na dźwięk jego groźny i szyderski zupełnie stracił przytomność; zachwiał się, pchnął drzwi i jak ścigany jeleni wybiegł z zamku, a ucieczce jego towarzyszył śmiech szyderski dworzan.

Zaledwie pierwsze promienie słońca wyzierać zaczęły z za stromych gór, Szwędzi ruszyli do szturm. Ranek był piękny, jesienny. Krople rosy błyszczały na niezmiernie zielonej łące, na gałązkach iglastych drzew,

a w każdej przeglądały się promienie słońca barwiąc je kolorami tęczy; rzekłbyś patrząc na ten zielony kobierzec ręką natury uwity, że usiany brylantami w szmaragdowych oprawach. Swisłocz zawsze cicha i spokojna, wiała się na piaszkowych pokładach, otaczając do koła zamek, niby błękitna wstęga opasująca w stal zakutą pierś rycerza. Ona nie przeczuwała że siwe jej fale zczerwienią się krwią, że przywykłe do spokojności uszy podrażni grom szmigownic. A w dali na górze, jakby na dokończenie obrazu widniały mury zamku. Lekka mgła staczała go gazową zasłoną, i olbrzym zdał się wisieć gdzieś w przestworzu nieskończoności, wsparty na nieba stropie. Zwykła w nim cisza i spokój — nie nie dało się domyślać, że tam gra życie, niby prolog straszego dramatu, który za chwilę odegranym będzie na scenie świata... śmierci. Tylko na wschodniej baszcie widniała wysoka postać wsparta na rękojeści szerokiego miecza — to strażnik.

Słońce coraz chyżej biegło na horyzont, już Wittemberg uszykował hufce, już przebiegając je na białym rumaku, miał dać znak do morderczej walki, gdy o jego uszy obita się pieśń — pieśń płynąca z tysiąca piersi do tronu Boga — „Boga Rodzico“...

Na ten głos silny, dzwięczny, przejmujący całą istotę człowieka, dumny generał zatrzymał się. Czy zabrakło mu siły?... bo ręka wyciągnięta opadła bezwładnie na łęk siodła, a znak mający rozwiązać krwawą komedię, niewidomy znikł w powietrzu.

A pieśń coraz mocniej, głośniejsz dobywała się z piersi zamkowego rycerstwa i leśne ptastwo, zbudzone niesłyszonym głosem wybiegło stadem z nocnych kryjówek, zlewając swe różnorodne pienia z głosem pieśni w jedną majestatyczną nutę...

Ostatnią zwrotkę wiatr rozniósł w przestworzu, ptastwo jakby czując niebezpieczeństwo skryło się znowu

w głębią lasu; z zamku i obozu dwa wykrzyki słyszeć się dały: na mury! do szturm!... Żądza boju, pragnienie krwi, przytłumione na chwilę potęgą Boga, która zdała się płynąć z nutą pienia, zawrzały znowu z całą siłą w piersiach rycerstwa. — Szwedzi jak uragan, jak lawiny gór pędzili na przód łamiąc i niszcząc wszelkie przeszkody. Rzeka w bród przebyta, palisady złamane — już stoją pod murami. Zagrały działa zamkowe, huk szmigownic rozdarł powietrze, Szwedzi mieszały się tem ogniem co palił ich jak Sodomę. Głos wodza ożywił ich męstwo, seciny zalegały ziemię a jednakże reszta wdzierała się na mury; garstka polskiego rycerstwa dokazywała cudów, aby odeprzeć tę falangę. Kasztelan wśród dymu i ognia stał na załomie baszty, ręką i okiem śląc rozkazy na wszystkie strony. Pierwszą przez Szwedów przystawioną drabinę zepchnął do fosy, druzgocąc tych, którzy się na nią pięli. I z uśmiechem dziwnego szyderstwa, patrzył na garstkę nieprzyjaciół wijącą się w fosie w konwulsjach konania. A Szwedzi mimo silnego oporu, jak stado drapieżnych ptaków na świeżego trupa, wdzierali się na warowny zamek Jana Kazimierza. Zdawało się że znużeni długim oporem, ustąpią nareszcie — nie, dziesięćkroć odegnani, dziesięćkroć powracali. Bo w bitwie — gdy twe ucho podrażni świst kul, gdy ziemię zrosi krew, a powietrze rozedrą jęki konających, nabierasz serca — ochoty. — Najtchórzliwszy staje się mężnym, słaby mocnym. Jakiś szal wściekłości ogarnia całą twoją istotę, głównia miecza pali rękę, niby żelazo rozpalone i rzucasz się naprzód z zamkniętym okiem, rozkrytą piersią; pragniesz krwi, któraby ostudziła ten żar piekielny, nie czujesz ran, ciosów, kul — jużes nie człowiek!... Rzuć okiem na twarz żołnierza w zamęcie bitwy. Nie dopatrzysz tam nic ludzkiego. Krew nabiega policzki, zda się chce przedrzeć skórę, oczy palają dziwnym ogniem, włos powstaje — usta i ręce drżą

konwulsyjnie. Rzucasz się jak zraniony tygrys — jakaś siła niepojęta popycha dalej — nie straszy cię ni blask ni grom pocisków — musisz zabić albo być zabitym.

Słońce miało się ku zachodowi, ramiona polskich rycerzy osłabły, już ich ciosy nie zadawały śmierci — cofali się wstecz.

Gdyby nieprzyjaciel uchwycił tę chwilę zwątpienia i niepewności, natarł całą siłą, byłby na szczycie zachodniej baszty zatknął zwyciężką chorągiew. — Ale i on zwątpił, i on się cofał — i jego piersi palił żar — a oczy kurz i dym, dwiestu walczących zostawił na placu bitwy. Napróżno Wittenberg zachęcał, groził, pędził; nikt go nie słuchał. — Zniechęcony oblany krwią, której mu polska utoczyła rusznica, spał konia i lotem błyskawicy, pognął do namiotu.

Za jego przykładem, poszła reszta walczących. Generał zsiadł z konia i rzucił się na dębowy stołek, a z pod czarnych jego źrenic tryskał ogień gniewu i zemsty. Od-dychał ciężko z pod stalowej przyłbicy, kroplami sączyła się krew. Powoli namiot napelniać się zaczynał; pułkownicy, rotmistrze otoczyli naczelnego wodza. I ich twarze blade, chmurne, usta spiekłe, czoło oblane potem. Stoją w milczeniu jak winowajcy przed obliczem sądu.

— Ha! zawołał Wittemberg, rzucając na stół poszezerbiony miecz, odstąpiliśmy tej rudery, jak podli tchórze! Ale biada Lachom! — ja im odpłacę — krwią za krew, trupem za trupa!... Bodajbym miał życie strawić, będę czekał, głód sam zmusi ich do poddania, a wówczas... uśmiechnął się szatańsko, zobaczymy!... Hrabio Horn, mówił dalej do młodzieńca, którego widzieliśmy w zamku, w charakterze posła — pójdziesz raz jeszcze do nich i powiedz — rozumiesz — powiedz — niech złożą broń natychmiast, a przebaczę! inaczej jakem Wittemberg, zemszczę się za krew moją, za trupy poległych!...

Młodzieniec skłonił głowę na znak uszanowania i wyszedł z namiotu. W uszach brzmiał mu jeszcze ów śmiech szyderski, który go wyprowadził z zamku, ale w głowie i sercu, błyszczało dwoje czarnych ocz Hanny. Dla nich zapomniał obelgi — wstydu, choćby raz jeszcze narazić się miał na nie; postanowił iść. —

Duma ustąpiła sercu.

A w zamku?... W zamku uciecha, wystawiono stoły na dziedzińce, miód pieni się w cynowych dzbanach. — Zły czas wybrał Wittemberg do układów. Rycerze zagrzani zwycięstwem i miodem, samego djabła za rogi przywieśli pod mury zamkowe. Tylko kasztelan, jakiś chmurny i niespokojny, wielkimi krokami mierzy rycerską komnatę.

— Połowa moich poległa, mówi sam do siebie, jeszcze jeden podobny szturm, a na murach zamku żaden nie pozostanie obrońca. A głód! — o! to straszny nieprzyjaciel, co oszczędzi miecz, ów rozszarpie dzikiemi szpony. A tu znikąd pomocy, obrony. Ja mogę zginąć — ale Hanna moja — dziecko jedyne... zakrył twarz rękami... biada mi! tegom dożył, aby patrzeć na trupa mego dziecka. A gdyby się poddać?!... Na tę myśl kasztelan wstrząsł się całym ciałem i pokraśniał sam przed sobą. Z jękiem upadł na krzesło. — I jego podobnie jak Wittemberga otoczyła starszyczna, oczekując rozkazów. Bolesnie, spojrzeć na ich twarze ogorzone od dziennej śpienkoty — zwalane błotem, kurzem i krwią... na oczy zapadłe, usta zsiniałe. —

Waszmość panowie — mówił kasztelan glucho, powoli! nie przemożem siły bez obcej pomocy. Nas garstka, a ich jak pszczoł w ulu. Zapasy małe, toć wiecie o tem — nie wystarczą na długo — a może i ludzi dla nich nie

stanie — połowa naszych już zginęła; — ale prosić o łaskę zwyciężonego — to hańba!... Nie, nie! zjemy wprzód nasze stalowe szyszaki, wysijmy krew poległych Szwedów, zanim się poddamy — niech się dzieje wola Boża... — Zamilkł na chwilę, snąc znowu myśl ciężka wiła się w głowie. A Hanna moja! zawołał gwałtownie — ha... toć ona krew, kość nasza... nie śmiał dokończyć, słowa, które miał wymówić, zastraszyły go.

— A gdyby zrobić wycieczkę, odezwał się ktoś z koła rycerzy, Szwed nieprzygotowany do boju, może ustąpi...

— Wycieczkę?... pytał jakby niedowierzając kasztelan, a z czem?... wszak ich tak wiele że zasypią nas kijami swych rusznic — tu za murem łatwiej się bronić, bo on zasłania nasze piersi — ale tam, na otwartem polu, zginiemy wszyscy...

Drzwi się roztwarły, wprowadzono parlamentarza. Kasztelan powstał, czoło zmarszczył, nienawiść tłała w szlachetnym oku.

— Cóż nowego mi przynosicie?... pytał — czy przychodzicie po łaskę — czy z łaską?

— Jedno i drugie przynoszę, — mówił młodzian a oczy jego błędziły po zasłonie drzwi, — Generał Wittemberg przyrzeka wam wolność, jeżeli złożycie broń zaci panowie. — Trudnoż bo mu się opierać, ludzi jak mrowia, nie jeden zamek już zdobył, zaprzysiął się na głowę że choćby przyszło wiekować pod murami, dokaże swego. Nie miejcie żalu do mnie panie, mówił dalej, widząc że twarz kasztelana blednie od gniewu i ręce drżą — ja jestem tylko wykonawcą danych mi rozkazów — bo i zważcie, pocóż prowadzić niepotrzebną wojnę — lepiej oszczędzić krwi i życia...

— Wojnę, wojnę! przerwał kasztelan — a jaż ja zacząłem, jam to was napadł we własnej siedzibie, jam się

targnął na życie walecznych rycerzy?... Wojna mówicie, o! bogdaj przepadł ten, co pierwszy wymówił to słowo zniszczenia i śmierci!! Za cześć słowo, za chwałę cudzą, miliony ludzi traci wolność, rodzinę i mienie!... Zowią zbrodniarzem tego, który jednego człowieka pozbawi życia — a jakże nazwać tych co na rzeź prowadzą tysiące?! Ot jeden zapragnie cudzej żony lub chleba i pędzi zgraję ludzi, których oplakują matki, siostry, żony; a ci posłuszni jak niewolnicy, dają życie za cudze zachcenia!...

Przestał kasztelan — zimny pot oblewał mu skronie, usta drżały. Obecni rycerze z zadziwieniem słuchali tej filozofii moralnej — ale ona tak była obcą ich przekonaniu, że jej zrozumieć, ani mogli, ani chcieli. — A z kądże ona wypłynęła na usta Jana Kazimierza?... Dyktowała ją bezsilna rozpacz. Kasztelan nie łudził się próżną nadzieją; znał dobrze swoje położenie, i czuł że siły jego nie przemogą sił Wittemberga, i lada dzień, lada chwila stanie się jego łupem. Złorzeczył wojnie — bo to ona była przyczyną tak nieszczęśliwych skutków. Jemu nie żal było umierać — przeżył tak wiele, ale Hanna — ta nieodstępna towarzyszką jego myśli... Czyż ma się poddać?... Wittemberg tyle świetnych przyrzeka obietnic — uratuje swoją dziewczeczkę — a z nią i szczęście całe — lecz cóż na to powie Bóg — kraj — honor!... Z załamaniem rękami przebiegał komnatę — wił się w strasznych konwulsjach cierpienia — a nie mógł zdecydować, którą z dwóch dróg ma obrać. Jedna daje mu życie i wolność, ponętne słowa dla konającego niewolnika — druga honor i wypełnienie obowiązków.

— Cóż mam odnieść Generalowi?... zapytał młodzieniec, drżąc całym, bo ujrzał dwoje oczów z pod złocistej zasłony.

— Co?! zawołał kasztelan, powiedz mu, że Jan Kazimierz C... kasztelan wileński... Tu przestał — miał wydać

wyrok na ukochane dziecko, lub splamić się w oczach własnego przekonania... Straszliwe uczucia miały nim przez chwilę — ale chwilę tylko; powziął silne postanowienie... nie poddaje się nigdy!...

Upadł na krzesło — w oczach pociemniało, chciał wstawać — nie mógł — omdlał.

Zaprawdę ten rycerz spełnił ofiarę Abrahama — kładł jedyne dziecko na stos ofiarny, pod nóż Szweda. Jeden wyraz mógł go ocalić — ale on nie wymówił tego wyrazu, bo uczucie obowiązku, bo honor i słowo, które dał — iż do ostatniej kropli krwi bronić się będzie, nie dozwalały tego. — I nie było kronik, któreby imię jego przekazały potomności, nie było nikogo, co by policzył tę ofiarę — nikt nie przejrzał do głębi duszy — Bóg tylko — a czyż on zesze pomoc? czyż ulituje się nad cierpieniem ojca?...

Już tydzień Szwed stoi pod murami zamku, Wittemberg dotrzymuje obietnicy. Sprowadza działa — kopie miny. A do zamku głód powoli, jak wąż jadowity, wślizgać się poczyna. Kasztelan więcej jeszcze posmutniał, ale nie zapiera danego słowa, zginie lub zwycięży!

Noc! śnieg drobny i gęsty, pędzony wiatrem, kręci się w powietrzu piekielnym wirem. Ze skraju lasu otaczającego zamek ukazało się trzech jeźdźców. Mieli na sobie barwy Radziwiłłowskie. Dwóch jechało przodem, trzeci opodal, zdawał się giermkim. Dwaj pierwsi byli to młodzieńcy, trzeci lat średnich. Konie ich pokryły się pianą, para kłębami buchła z rozwartych nozdrzy. Biegli w całym pędzie dzielnych rumaków. Śnieg bryzgał pod kopytami,

zdali się pruć powietrze. Nad brzegiem rzeki zatrzymali się. Śnieg przestał padać i błądy księżyc wypłynął na czarne tło horyzontu. Jeźdźcy zsiadli z koni.

— Barnabo, rzekł jeden z młodzieńców do giermka; trzeba nam się przepawić przez rzekę.

— Ha, to prawda — ale jak?... kiwając głową — odrzekł zapytany.

— Ręce silne — wplaw.

— To niebezpieczno — odparł Barnaba, woda bystra i głęboka.

— Sprobujemy, mówił wesoło młodzian, jakby chciał poigrać z niebezpieczeństwem, i spiął konia ostrogami.

Barnaba zatrzymał go.

— A tam, zapytał wskazując na drugą stronę. Swiśloczy, co robić będziemy?...

— Zobaczymy, co robić wypadnie — a teraz w wodę.

— Ho, ho, ciągnął Barnaba, nie wypełnię ostatniego rozkazu — trzeba zrobić dorzecznie żeby w ręce Szweda nie popaść. — Nie dostaniem się do zamku inną drogą jak tylko wąwozem, albo trzebaby przechodzić cały obóz szwedzki, co jest niepodobieństwem. Właśnie jesteśmy naprzeciwko onego wąwozu, pilnują i tego straże Szwedzkie, chociaż mniej jak innych miejsc, przez nie wam przedrzeć się potrzeba. To właśnie sęk, a wybić go nie łatwo.

— Cóż więc robić? zapytali obaj młodzieńcy.

— Szukajmy rady — powiedział gadatliwy Barnaba, najprzód jak najciszej przepawimy się przez rzekę, konie tu zostawimy, niech lecą na cztery wiatry, bo będą nam tylko zawadą, a kasztelan da nam lepsze; jeżeli strażnik Szwedzki który się z tej strony nie spodziewa żadnego napadu, żnużony źle czuwa — to nasz, jeżeli nie — to my jego — narobi hałasu, zginiemy — ale wola Boża — do dzieła!...

— Dobrze mówi! zawołali młodzieńcy.

Księżyc skrył się za chmury i gruba ciemność zaległa ziemię. Słysząc było spadnięcie trzech ciał w wodę. Bałwani piętrzyły się wysoko, bo wiatr gnał silny, uzbrojeni ludzie zmuszeni walczyć ze straszny żywiołem, ledwie mogli oddychać. Silnemi ramionymi pruli nurty rzeki, a ryk burzy głużył plusk ich rąk. Rozpaczne, konwulsyjne czynili usiłowania, aby dostać się na brzeg przeciwny — a śliski kamień wymykał się z rąk i woda znowu niosła daleko. Nareszcie jeden uchwycił młodą roślinkę wyrosłą w szparze skały, drugi nogę pierwszego, trzeci rękę — i dostali się na ląd.

— Zrządzenie Opatrzności — słaba trzcina ocaliła życie trzem mężczyźni. Parę kroków dalej, odezwał się jeden z młodzieńców... a nie zobaczyłbym kasztelana...

— No przebrnęliśmy rzekę zaczął znowu otrząsając się z wody — śmierć przebyta, ale dalej?...

Na krawędzi wąwozu — oderwał się drugi z młodzieńców, coś spostrzegam, jakiś punkt niknący w ciemności. Barnaba pilnie się w niego wpatrywał.

— To Szwed, przerwał, ale usuńmy się na stronę, żeby nas poganin nie zobaczył, i myślimy co nam dalej zrobić wypada. Położenie tych trzech ludzi było niebezpieczne. Przed nimi zastępy Szwedzkie, których żadne męstwo pokonać nie zdoła, bo ustąpić musi przed liczbą, — za nimi rzeka groźna, szumiąca, przebyć jej nie sposób, brak sił i środków. Dwie drogi mają przed sobą, albo przejść obóz Szwedzki — albo raz jeszcze rzekę, dwie drogi straszliwe — bo na końcu każdej... śmierć.

Kilka minut trwała narada.

— Co będzie, to będzie, szeptał cicho Barnaba, jakby się lękał wiatru i śniegu, żeby słów jego nie zaniósł do obcego ucha, ale lepiej próbować szczęścia idąc na przód — jak dobrowolnie nurzać się w tym odmęcie; i wskazał rzekę z wyrazem zgrozy.

Młodzieńcy w milczeniu połączyli dłonie przyjaźnym uściskiem, noc pokryła łąy jakimi zaszło oko, wiatr uniósł westchnienie. Dobyli szabel i postąpili kilka kroków.

Barnaba wziął ich za ręce.

— Na kolana — Bóg nas tylko obronić może, rzekł głucho. —

Uklękli wszyscy trzej na śnieżnym kobiercu, księżyc błysnął znowu na chwilę, jakby chcąc się przypatrzeć temu obrazowi. — I zaniósł do tronu Boga słowa gorącej modlitwy — ale dwóch tylko — trzeci nie modlił się. Wsparty na szabli — dumał.

Po skończonej modlitwie, przemówił Barnaba: Trzeba najprzód skończyć z tym poganinem i rzucił okiem w głębią wąwozu. Zaszli w długi, ciasny wąwóz, ciągnący się wśród dwóch gór stromych, wil on się kręto i dochodził aż do wschodniej wieży. Był źle strzeżony, bo Szwedzi żadnego z tej strony nie przypuszczali niebezpieczeństwa; bystrość rzeki i ciasność wąwozu, dostateczną były dla nich rękojmią. Jednakże przy załomie góry, jakby we framudze, stał Szwed wsparty o lufę rusznicy, głowę skłonił na piersi — drzemał. Nagle poczuł na ustach ciężką rękę, druga chwyciła go za barki — trzecia odłączyła głowę od ciała.

Wszystko to nie trwało minuty — nie krzyknął biedak — nawet nie wydał jęku, bo już nie żył... .

— No to już druga przeszkoda załatwiona, rzekł zimno Barnaba, ale...

— Co znowu? zapytał niecierpliwie jeden z młodzieńców.

— Jestem świadomy położenia, mówił Barnaba, znajdujemy się o trzysta kroków zaledwie od wschodniej wieży — tylko największa trudność — czy wpuszczą nas do zamku?...

— Jakto czy nas puszcza? obruszyli się rycerze — niesiemy im dobre wiadomości, jesteście przysłani od księcia — posłowie i przyjaciele!...

— Dla nich teraz każdy nieprzyjaciel, co się za murami znajduje.

— Ale mój Barnabo, — tyle zwyciężywszy przeszkód, tyle pokonawszy niebezpieczeństw, gdy już jesteśmy u celu naszej podróży, mamy nie zrobić wracać się?...

— E, e, tego nie mówię — chociaż kto wie co by było lepsze.

— No — co będzie, to będzie, chodź za nami. Nie po to przyszliśmy tak daleko, aby się wracać, i młodzieńcy postąpili naprzód, ciągnąc za sobą wahającego się Barnabę.

Księżyc rzucił promyk światła, na trzy cienie, które wśród nocy drapały się na stromą górę. W tem silny głos tuż nad ich głowami zawołał — „kto idzie!“ — dreszcz przebiegł ciało, zatrzymali się... Byli już u podnóża zamkowej wieży — a ten głos wyszedł z piersi jój strażnika.

— Dobrze idzie! zawołał radośnie Barnaba, znam ten głos — Szymonie!...

— Na Matkę Najświętszą! odezwał się głos z wieży, kto tam? widzi mi się to kum Barnaba — czy to wy stary?...

W tejsze chwili trzech podróżni stanęli pod basztą, księżyc oświecił ich lica:

— To on! to on! wołał Szymon — ale co tu robisz? — jak się dostałeś?

— Puszczaż tylko żywo — a dowiesz się o wszystkim — niesiemy wam dobre wiadomości, jesteście przysłani od księcia Radziwiłła.

Po chwili młodzieńcy usłyszeli, ciężki chód zbrojnego męża, pod którego stopami uginały się schody wieży; otwały się małe dębowe drzwi okute żelazem i na ich progu stanął mąż, atletycznej postawy — w ciężkiej —

szmelcowanej zbroi, jedną ręką jakby niedowierzając trzymał miecz krótki, szeroki — drugą rusznicę. Za nim wiadać było jeszcze kilka postaci i lufy strzelb.

— No, no, mówił śmiejąc się Barnaba, schowaj rusznicę na Szweda, już cię zamku zdobywać nie przyszedliśmy... lepiej daj co jeść, pić, bo nam chłodno i głodno, a kasztelan rad nam będzie za przyniesione sobie nowiny.

— Przez Boga żywego, pytał olbrzym nie ruszając się z miejsca, jakim sposobem dostaliście się do zamku?...

— Wiele trzeba czasu na opowiedzenie tego, ale już cię nie na dworze o tem rozprawiamy, puszczaj mnie, bo zmarzną!...

Strażnik widząc że z trzema tylko ludźmi ma do czynienia usunął się i wolne im zostawił przejście.

— Powiedz no Szymonie, prawil przez drogę Barnaba, co robi kasztelan, bo my tu przywieźli pisanie od J. O. księcia Krajczego Radziwiłła.

— Co robi? — oto broni się — ale podobno nie długo tego będzie — głóg kumie — głód! zawołał z wyrazem rozpaczy, uderzając po ramieniu Barnabę; a ten ustraszony blaskiem ponurym jego oczów — cofnął się kilka kroków.

— Jeszcze się dla ciebie znajdzie przekąska — dokończył strażnik łagodnie, widząc pomieszanie swego drucha i kładąc je na karb głodu. To powiedziawszy wprowadził gości do dużej oświetlonej izby, gdzie kilku towarzyszy różnych chorągwi dość żywą, siedząc na ławach, wiodło rozmowę. Wielki ogień naniecony na kominie, ciepłem i światłem darzył komnatę.

— Rozgoście się proszę, rzekł Szymon, zaczem staniecie przed J. W. Kasztelanem, a tuszę że i dzbanek miodu nie zawadzi.

— Przynieś no go — przynoś, a i sam powróć to zaspokoje twoją ciekawość.

Szlachta usunęła się z ławy, aby zrobić miejsce przybyłym i ciekawie mierzyła ich okiem. Dziwne ich przybycie nieco zagadkowe i odstręczające.

Wszedł nareszcie Szymon — niosąc duży dzban miodu.

— Teraz Szymonie, rzekł Barnaba, opowiem jakim sposobem dostaliśmy się tutaj — i przysunął ławkę.

Szlachta kółkiem otoczyła mówcę chciwie nadstawiając ucha.

— Tylko wprzód, ezcze gardło zakropcie miodem; odezwał się Szymon, i przechylił w kubek cynowy dzban. Miód czysty złocistej barwy nappełnił go po brzegi.

— Oto widzicie zacni panowie, począł Barnaba, zwracając się do szlachty; ci dwaj moi panowie i towarzysze to są: W. Jerzy Niesiołowski, Rotmistrz lekkiej chorągwi Krajczego Radziwiłła i Jan Włodek towarzysz Usaryi. Ja jestem stary ich sługa — wypiautowałem obódwóch, bo obaj chowali się razem — ale co o tem prawić... otóż JW. Krajczy zawołał jednego dnia W. Rotmistrza i rzekł mu: masz tu waść pisanie do kasztelana Wileńskiego, którego Szwedzi zagarnęli jak w matnię, powiedz że nie długo przyjdę mu na pomoc i wypłacę go da Bóg — ale niech się broni do tego czasu — póki sił stanie. Weź sobie towarzysza i powracaj zdrowo. — Ha, cóż było robić — rozkaz wydany, ruszyliśmy w drogę. Do Swisłoczy szło jak z płatka — ale tu dopiero czekał nas sęk...

W tej chwili drzwi się roztwarły i wszedł służbowy kasztelana.

JW. kasztelan odezwał się, prosi do siebie Waszmość Panów z listami.

Coś prędko dowiedział się o nas kasztelan, odezwał się wstając Niesiołowski, no Janie pójdźmy do niego. — Wyszli.

— Ja tu zostanę i odpowiem resztę — rzekł Barnaba, i wychyliwszy zasiadł przy ogniu.

W wielkiej komnacie, przy stole zasłanym bogatym kobiercem siedzi kasztelan; głowa wsparta na rękę opadła na piersi, jakby przywalona brzemieniem smutku. Nogi jego wspierały się na poduszce, na której siedziała młoda, piękna kobieta.

To Hanna.

Piękną główkę, owitą w pukle długich, czarnych włosów wsparła na kolanach starca, rękami objęła jego nogi. A starzec wpatrywał się w to oko czarne, w te usta uśmiechnięte, jak w obraz cudowny — patrzył namiętnością — ogniem.

Drzwi się roztwarły cicho, w progu stanęli dwaj młodzieńcy. Stanęli nieruchomi, jak posągi z głazu, aby nie spłoszyć uroczego zjawiska: tej kobiety młodej, pięknej jak anioł tulącej się do starca, mieszającej swoje łzy z jego łzami.

Instynkt, który nam oznajmia przybycie obcego, sprawił, że kasztelan odwrócił głowę, ujrzał przybyszów.

— Kto jesteście waszmość panowie? zapytał z wyrazem niezadowolenia.

— Jesteśmy przysłani od JO. księcia Radziwiłła — kłaniając się odpowiedzieli młodzieńcy.

Na dźwięk obcego głosu Hanna powstała, niemy pocałunek, jakby ostatnią pieczęcią złożyła na czole starca, i wolnym krokiem wyszła z komnaty.

— Ach to wy! zawołał powstając kasztelan, czy macie listy? jakie nowiny przynosicie?...

— Oto pismo — które lepiej niżeli nasze słowa wy-

powie zamiary Krajczego, mówił oddając listy, nam kazał tylko powiedzieć że wnet przybędzie na odsiecz.

Kasztelan rozerwał pieczęcie listów i szzybko przebiegł je oczami, śnać dobre znalazł wiadomości, bo czoło rozchmurzać się poczynąło i uśmiech błąkał na pobladłych ustach.

— Dziękuję waszmościom za te nowiny, dziękuję! zawołał kładąc listy na stół, jesteście dzielni młodzieńcy. Ale jakim sposobem dostaliście się tutaj? wszakże Szwedzi obsadzili wszystkie wejścia, że i sam djabeł wymknąć by się nie potrafił.

— Przeszło się — szczęśliwym podstępem, odrzekł Niesiołowski.

Kasztelan uściskał ich.

— No już mnie nie opuście więcej? zapytał.

Młodzieńcy spojrzeli po sobie, i jakby jedną uderzeni myślą, oczy spuścili w ziemię.

— JO. Krajczy kazał nam powracać, rzekł nieśmiało Jerzy.

— A którydyż wrócić? chyba ptakiem; raz tylko udaje się sztuka, ale więcej próbować nie radzę. Zresztą ja tu rozkazuję! zawołał nieco groźnie — mnie słuchać należy — a ja każę wam zostać!...

Młodzieńcy skłonili się w milczeniu.

— Teraz jesteście znużeni — idźcie do przygotowanych komnat wypocząć nieco — a jutro zobaczą was w boju i w radzie.

Poświęćmy słów parę tym młodzieńcom. W czasie, w którym się powieść nasza zaczyna zepsucie toczyć poczęło kraj.

Przyszło ono z obczyzny. Rzadko dojrzałeś już te typy charakterystyczne naszego narodu — tę szlachtę i lud prawy, niewinny, dla którego honor był bożyszczem, przysięgą świętą, którego szable były murem ojczyzny. Grób pokrywał ich, czas sypał kamienną mogiłę zapomnienia nad wiekiem trumny. W nieszczęściu wykazuje się charakter narodu i człowieka, to najlepszy kamień probierczy, a naród był wówczas nieszczęśliwy, i z tej próby nie wyszedł zwycięzko. Szarpany zewsząd bezlitośnie, gdy każdy wyciągał po niego rękę, jak po owoc nadpsuty, którego prędko zerwać potrzeba, a uszczknąć łatwo, nie mógł wynaleźć na swoją obronę ni honoru, ni żelaznego muru szabel. W jego krwi legli się Radziejowscy — Sicińscy!... Tajne sekty antychrześcijańskie, kałały większem jeszcze zepsuciem — druzgotały świętokradzką nogą, najsilniejszą podstawę bytu narodowego — wiarę! — I tak gdy zewsząd toczono krew z jego arteryi, on bezwładny pogrążony niby w śnie letargicznym spoczywał na dnie przepaści, w objęciu zwodniczej rozkoszy. Bóg jednakże podał mu jeszcze rękę pomocy — śnać grzechy ludu nie przebrały miary — rzekł, jak córce Kaira — wstań!...

W takiej to epoce nastroju ducha narodu, żyli nasi rycerze — czy czas wywarł na nich zgubny wpływ?...

Jerzy Niesiołowski, wypiastrwany rękami ojca, który był wiernym typem dziecięcia naszego narodu, nie wyrodził się od niego. On dobre wyssał z mlekiem matki, ono wrosło w jego duszę, utworzyło pancerz, którego złe skruszyć nie zdołało. Szedł śmiało po stromej ścieszcze życia, bogaty wiarą i sercem. — Był sierotą, wcześniej pogrzebał rodziców, został sam na szerokim świecie — mając za cały talizman i wskazówkę obraz matki i rady ojca.

Jan Włodek, potomek wielkiego rodu i imienia, szczerp szlachetnego drzewa, wypieszczony w puchach obczyzny — wyrodził się od swego towarzysza. Umysł jego

egzaltowany... zgubnym blaskiem próżności — szukał na świecie czegoś — czego pojąć i określić niepodobna. Przy kolebce śpiewano mu pieśni i legendy o zmyślonych bohaterach zachodu, zapragnął być jednym z nich. Rzucił się na wszystkie strony — aby mógł wynaleźć nie Ariadny do przejścia labiryntu świata — i nie mógł jej znaleźć — błądził w ciemności.

Stolica poczyniała być już gniazdem zepsucia, socynianizm, szeroko w niej się rozpościerał — Jan przepędził tam pierwsze lata młodości — został Ateuszem. Jakieś grono poważnych starców, przyjęło go do swego towarzystwa, dziecinną, rozmarzoną głowę napełnili fikcją, serce próżnią. Ale młodzieniec zdało się, iż wynalazł nareście szukaną nie — że promyk światła rozjaśnił ciemności.

W pierwszych zamieszkach kraju, gdy Chmielnicki pustoszyć go zaczął — ojciec Jana stracił mienie i życie. Biedny syn pozostał bez wsparcia i opieki — był to pierwszy cios — Bóg dotykał grzesznika!...

Jerzy spotkał Jana na drodze swego życia — spotkał go biednym — opuszczonym, sierotą.

I on sierota — obcy światu. Podał mu dłoń — ogrzał — przytulił do serca, polubił — pokochał! Zaprowadził do stopni ołtarza, gdzie starym obyczajem przodków — o którym tyle pochwał z ust ojca usłyszał — złożył w jego ręce przysięgę wiecznej przyjaźni.

A Jan? — Jan także przywiązał się do niego — jak do ojca, brata, bo mu ich brakło obojga — bo czerpłoby uczucia, gdy serce rwie się do niego, zapełnić było potrzeba.

I znowu noc. Ciemno i głucho dokoła, a księżyc zakryty grubą chmur powłoką — już na niebie dobiegał swej drogi. W zamku i w obozie wszystko snem legło. Tylko wołania strażników na murach, od czasu do czasu jednostajną łączyły ciszę. Szymon stał na zwykłym miejscu, głowę zwiesił na pierś zakutą w stal. Niekiedy promień księżyca przejrzał się w szklącej jego zbroi — i wówczas zdało się Szwedom, że słup ognisty strzeże bram zamku.

Szymon, to dziecię gminu — wychowaniec kasztelana. Znalaziono go — gdzieś pod lasem, drżącego z zimna i głodu; kasztelan przyjął, ogrzał, nakarmił, dał w rękę miecz i chleb. — To też Szymon całe życie obrócił na usługi dobrego pana. On wypiautował Hanę, on dawno już — ocalił życie kasztelanowi w krwawej bitwie; kasztelan w nadgrodzie swego mężstwa ucałował rękę królewską, Szymon rękę kasztelana.

Szczególna wdzięczność! Dziś jak pies wierny stoi na swém stanowisku — wschód i zachód spotyka go na niem. Gdyby swoim życiem mógł okupić szczęście i życie pana z jakąż radością rzucił by się z tej baszty w nurty Świsłoczy — niestety Bóg — nie naznaczył mu tego szczęścia.

I teraz noc popędza — na strażnicy za cały posiłek gryząc zeschlą kromkę chleba.

Dumał — różnorodne myśli owiane fantastyczną mgłą nocy, snuły się w jego wyobraźni.

Ni mu ojca — ni matki — podrzutek — znajda!...
O ileż oddałby za jeden rodzicielski uścisk!

I zdało mu się, że widzi otwierające się podwoje nieba — widzi rodziców wyciągających do niego ręce — widzi ich uśmiech — czuje uścisk palący piersi! Poskoczył do tego widziadła... zatrzymał go chłodny kamień muru, bezlitośną ręką ukazując rzeczywistość, wstrząsał głową, jakby chcąc odpędzić te złudzenia.

— Nagle posłyszał za sobą szelest, obejrzał się — Hanna stała przed nim.

Kibić otaczała biała suknia, długie czarne włosy niedbale rozpuszczone igrały z wiatrem — a w pięknym oku kręciła się łza.

— Na Matkę Najświętszą! zawołał Szymon, bo to był ulubiony jego wykrzyknik, panienska tutaj!?

— Ciszej Szymonie, przerwała łagodnie Hanna, nie chcę ażeby mnie kto widział — przyszedłam do ciebie po radę.

— Do mnie? zapytał osłupiały Szymon, co ja mogę poradzić?...

— Och! mój Szymonie, ja nie mam nikogo, ktoby mi rzekł słowo rady i pociechy, ojca się lękam, obcemu zwierzyć nie chcę; ty jeden; tylko mój Szymonie — tyś mnie nosił na ręku — tyś dziecięciu przy kolebce śpiewał piosenki, ty mię pocieszysz — wszak prawda?... i z uśmiechem nadziei podała rękę staremu słudze.

Szymon porwał tę rękę, tulił do ust, do serca a łzy gradem pobiegły po twarzy.

— Ale ty się na mnie nie rozgniewasz Szymonie?... pytało dziewczę, ja czuję że źle robię — ale niestety jest siła, której zwalczyć niepodobna, ta siła pociąga mnie żelazną prawicą, a ja słaba kobieta... ulegam. — Ja nie wiem co to znaczy — ale mnie tak jakoś tęskno... boleśnie...

Czy ty widziałeś? pytała dalej, tego młodego Szwe-
da — co tu był w zamku dwa razy — przynosząc jakieś warunki?...

Szymon wstrząsł się, jakby go jadowita ukąsiła zmi-
ja — domyślał się.

— Otóż, mówiła Hanna — gdy jego nie widzę tak mi tęskno — taki ból czuję w głowie i w piersi — patrz na moje oczy — na usta trawione dziwnym ogniem... Szymonie ja nie mogę żyć bez niego!...

I zakryła oczy rękami — z piersi dobywały się łkania — rozpacz wstrząsała ciałem wyraz straszego cierpienia rozlał się na bladej twarzy.

— Moja panienko — moja Hanno — jękał Szymon — chyląc się do kolan kasztelanki, nie płacz... nie boleję, bo każda łza twoja, to jakby kamień pada mi na piersi... uśmiechnij się przecie do mnie... to ja Szymon!... i wyl się po ziemi z rozpacz.

— Moja panienko — błagał, przerywanym od płaczu głosem, czy on wart chociażby jednej łzy twojej, wszakże to Szwed! — nasz wróg!... co pije krew naszą, pustoszy kraj, morduje żony i matki — czyż jeszcze ma pić i łzy nasze?...

Hanna powoli przychodziła do siebie, słowa Szymona cuciły ją z dziwnego omdlenia.

— Tak! zawołała jakby do siebie, tak, twoja prawda Szymonie, to nasz wróg!... a ja miałabym oddać mu serce i rękę?! nie, nie... a przecież ja go tak kocham, mój Boże... on taki piękny, taki wspaniały!... Raz go ujrzałam i więcej zapomnieć nie mogę... gdyby choć raz jeszcze ujrzeć... a potem... umrzeć!!!... Ale na co te grzeszne myśli, on nie nasz, on obcy, on nam wrogiem!... A gdyby, mówiła jakby nową uderzona myślą, gdyby on opuścił nie-nawistny kraj, lud i wrócił do nas tu — na mury!... Szymonie — jakżebym go kochała! zasłaniałabym własną piersią od kul — dzieliłabym się chlebem moim. Co rana bym sama zapinała zbroję, i znak krzyża kładła na piersi, i modliła się za niego... Szymonie — biegnij, powiedz mu to!... mój przyjacielu idź! idź! wołała błagająco.

Szymon był w rozpacz — miałże iść do Szweда z podobnem zleceniem, to było niepodobne. A jakże tu powiedzieć jej to? Czuł że podobne słowa to śmierć dla jego panienki. Przez chwilę głuche panowało milczenie,

Szymon uporządkował swe myśli. Kręcił się nie mogąc znaleźć odpowiedzi.

— No mów! zawołała Hanna, którą już poczynąło niepokoić długie milczenie sługi, wszak pójdziesz mu to powiedzieć?...

— Pójdę... wyjąkał Szymon.

— Dziękuję ci — rzekła spokojniej, uśmiechając się Hanna, byłam pewna że mi dopomożesz, poradzisz. Ty nie uwierzysz jakam teraz szczęśliwa, on przyjdzie, jestem pewna, i będzie moim — tak moim!...

Odwróciła się i znikła.

Szymon padł na jedno kolano — i łzy długo tłumione trysnęły.

Smutne było położenie obleżonych. Spodziewana pomoc może przybyć za miesiąc — za dwa, lub trzy — a tu się dłużej opierać niepodobna. Zapasy miały się ku końcowi — amunicyi także braknąć zaczynało, czekała ich śmierć nieuchronna z głodu, lub od oręża szwedzkiego.

A Wittemberg siedział cicho spokojnie, jakby się uragał niemocy obleżonych, on chciał bez straty i boju wejść zwycięzcą, chciał zmusić Jana Kazimierza do zdania się na łaskę. Wszystko to jak w horoskopie odbijało się w głowie Jana Kazimierza i sam Bóg powiedział tylko może, ile nocy bezsennych, ile łez ono go kosztowało. Czas szedł tak wolno i leniwo, jakby się sprzymierzył z nieprzyjacielem, a kasztelan widząc się zewsząd opuszczonym, gdy i obiecane posiłki nie nadchodziły, wpadł w rozpacz i rwał sobie siwe włosy.

Pewnego razu — gdy takie myśli obległy mu głowę — wszedł Szymon.

— JW. Panie, rzekł klaniając się, kilkadziesiąt wo-

zów, obładowanych żywnością Szwed sprowadził do obozu — a nam jej braknie.

Kasztelan bystre rzucił mu spojrzenie.

— Więc mu ją wziąć? zapytał.

— Możliwy to zrobić, odparł zimno Szymon.

— Wola Boska! zawołał kasztelan, lepiej umierać z bronią w ręku, jak z głodu — już widzę nie ma dla nas ratunku — spróbujemy przynajmniej szczęścia — odbierzem ją!!...

— Kiedy?...

— Zaraz. Ty z dziesięcią ludźmi pozostaniesz w zamku, reszta kto żyw — wszyscy pójdą ze mną, dziecię i starzec. Szwed nie spodziewa się napadu — może ulegnie, a każda bułka chleba, którą odbierzem — to dzień życia — idź — zanieś rozkaz niech rycerstwo będzie gotowe, ja pójdę pożegnać moje dziecię!...

— Czy nie lepiej iść nocą? wtrącił nieśmiało Szymon.

— Tak, tak, twoja prawda, noc! ona wszystko pokryje — idziemy w nocy.

Wiedząc że kasztelan z załogą robi wycieczkę lotem błyskawicy rozbiegła się po zamku.

Trwożono się tylko że tak małą w nim zostawia załogę. A gdyby im się nie powiodło?... Ale kasztelan odpierał te wszystkie zarzuty tem, że Szwed nie spodziewa się napadu, uspiony spoczywać będzie spokojnie — i przędziej o ucieczce jak o napadzie pomyśli.

Na wszystkich twarzach czytała się wesołość z obiecaną wyprawą. Bitwa dla żołnierza to tany, idzie do niej z uśmiechem na ustach, z wściekłością w sercu.

Czyszczono broń, nabijano rusznice, i zaledwie mrok pokrył ziemię, już wszystko było gotowem do wyjścia.

Jerzy i Jan także należeli do tej wyprawy, przechadzali się po wewnętrznym dziedzińcu trzymając się za ręce.

— Janie — mówił Jerzy — cedząc z wolna każdy wyraz — ty kochasz Hannę?...

— O tak! tak mój Jerzy! ją i ciebie — zawołał Jan serdecznie ściskając go za rękę. Jerzy spuścił głowę — i połknął łzę.

— Ale ją więcej jak mnie? zapytał stłumionym głosem.

— Ja nie wiem — szeptał Jan — w mem sercu pomieścicie się oboje, bo i ja ciebie kocham, zawsze kocham...

— Tak, rzekł Jerzy — jakby do siebie — przysięgliśmy sobie przyjaźń w obliczu Boga. Czy ty to pamiętasz Janie — ja jej dotrzymam... Ale chodźmy — mówił prawie w obłąkaniu — siadają na koń — i nam już czas... o gdybym więcej nie wrócił!...

Gwałtownie pociągnął za rękę towarzysza — wkrótce znikli w ciasnych dziedzińcach zamku.

Przepowiednie kasztelana ziściły się. Szwedzi nie spodziewali się napadu, spali spokojnie jak pod dachem rodzinnej chaty, nie mogli przypuścić, aby garstka polskiego rycerstwa, uzuchwaliła się aż do atakowania ich we własnym obozie.

Kasztelan jak zwierz dziki — niesyty krwi, pierwszy z orężem w rękę rzucił się na karki śpiących. Szwed przestraszony porzucił broń, biegł w ciemnościach nie wiedząc gdzie się obrócić, nie mogąc się rozróżnić. Odważniejsi mordowali się wzajem, inni rzucali w rzekę, inni biegli bez celu i drogi, zostawiając wszystko na łup zwycięzcy.

Wittemberg sam jeden może czuwał tej nocy, śnać przewidywał nieszczęście. Na hałas wszczęty w obozie zerwał się ze skór niedźwiedzich, porwał miecz i wybiegł z namiotu, ujrzał kasztelana w tryumfie prowadzącego wozy z żywnością, ujrzał się sam — w wyludnionym obozie.

Zachwiał się — wsparł o podpórę namiotu i po rycerskiej twarzy, spadła łza — poniżenia.

Chwilę trwała bezwładność — postąpił krokiem, i jakby przypomniał sobie obowiązki żołnierza, sam zdobytą szablą biegł w szeregi kasztelana — zatrzymała go garstka oficerów i wściekłego z gniewu odprowadziła do namiotu.

A Hanna? Przez cały czas bitwy w sypialnej komnacie modliła się gorąco. Może chciała ubłagać niebo o szczęście dla kochanka!?

W tem posłyszała chód ciężki, obróciła się — Hrabia Horn klęczał u jej nóg.

Hanna jak nieprzytomna rzuciła się na jego szyję i spiekłe usta tuliła do czoła kochanka.

— Więc tu u nas, szeptała chyląc się na jego pierś, u nas mój drogi, opuściłeś obóz nieprzyjaciół? prawda tu lepiej?... O jakże cię teraz Kocham, już nic nas nie rozłączy, nikt nie powie tego strasznego słowa... wróg!... wszak ty tu zostaniesz na zawsze? ojciec nam pobłogosławi — będziemy tak szczęśliwi...

Hrabia cofnął się krokiem, on nie mógł pojąć tej dziwnej mowy; nie wiedział nic o rozmowie Szymona z Hanną. Korzystając z nocy i bitwy, wdarł się do zamku i tam albo ujrzy Hannę — albo zginie u jej nóg!...

— Co ty mówisz?... jękał. Co ty mówisz? ja tu zostać nie mogę — jestem Szwed — i tu u was...

Hanna powstała — czarne jej oko zatliło błyskawicę gniewu.

— Więc ty nie nasz! zawołała, tyś obcy — czego tu chesz?!... precz! precz!...

Hrabia padł twarzą u stóp dziewicy.

— Hanno ulituj się, błagał z wyrazem niemej rozpaczy, ja cię Kocham, ale tu zostać nie mogę, muszę wra-

cać do obozu... bo inaczej byłbym zdrajcą! zdrajcą mego króla! — zakrył twarz rękami.

— Ja cię kocham, przybiegłem ci to wyznać.

— Dla czegoż, pytała naiwnie Hanna, która nie rozumiała wyrazu zdrajca, jeżeli mnie kochasz, nie chcesz opuścić obozu i stanąć pod sztandarem mego ojca?...

— Nie mogę!... nie mogę! jękał Hrabia, ty tego nie rozumiesz...

— O rozumiem! krzyknęła Hanna, rozumiem, tyś Szwed!... nie zbliżaj się do mnie, odstęp! Na twoich rękach widzę krew naszych rycerzy... wychodź!... ja nie kocham Szweda...

I dziewcze padło nieprzytomne na stopnie kłęcznika.

Horn rzucił się na nią, targał za ręce, zapomniał gdzie się znajduje... sądził że umarła. Straszny głosem krzyknął: pomocy!!...

Szymon wbiegł.

Ujrzał martwą dziewczę na rękach Szweda; gniew, zemsta zawrzała mu w piersi. Porwał na ręce Hrabiego i jak dziecko uniósł z komnaty Hanny.

Wbiegł na wieżę.

Napróżno pasował się Hrabia w rękach olbrzyma. Szymon ujął go w zbrojne żelazem dłonie, jak w kleszcze. Minutę namyślał się, a przez ten czas walka wewnętrzna ryła się na jego gniewem oszpeconej twarzy.

Nareszcie powziął silne postanowienie. Schwycił za pierś Hrabiego — machnął w powietrze... słyhać było głuchy jęk... i plusk wody...

Szwed już nie żył, jego ciało, rozbite o kamienie i mury, Świsłocz uniosła daleko...

Gdy kasztelan powrócił do zamku, zastał Hannę zdrową, leżącą na łóżku, tylko nieco bledszą jak zwyczajnie.

Już słońce miało ku zachodowi, a Szwedzi jeszcze w obozie zebrać się nie mogli, jak stado ptactwa po wystrzale myśliwego rozpierzchnie się i długo w jedną zebrać nie może gromadę, tak i Szwedem, w rozmaite strony rozbiegłym, bojaźń nie dozwalała prędko wrócić pod mury zamku. Wittemberg jednakże nie myślał odstąpić oblężenia, posłał o posiłki, i zamek upornie zdobyć postanowił. A załoga mając na długo powiększone zapasy, spokojnie czekała Radziwiłła. Kasztelan cały oddał się wojnie. Jakaż to czekała go sława i cześć!... Szwed wszędzie zwycięzki — ze wstydem ustąpi z pod jego zamku. Hanna codzien była słabszą — wpadała czasami w straszłą gorączkę, i pod ten czas ze wzdętej piersi dziwne płynęły słowa.

Oto i teraz znajduje się pod wpływem takiego paroksyzmu — odsuńmy złotem przetykaną kotarę jej łoża i posłuchajmy.

Trudno ją poznać. — Piękna biała cera twarzy ustąpiła żółtej poranej zmarszczkami, zagasł blask czarnych oczu — usta spiekłe roztwarły się.

— On wróg — mówi cicho, ja nie mogłam go kochać?... Nie... nie! on przyjdzie jeszcze, powróci do nas, uściskną go... przytulę twarz do jego łona... pocałuję po raz ostatni... potem uwiję wieniec z rozmarynu... wplotę białe wstęgi, te po mej matce... włożę welon. On weźmie mię za rękę... Kłękniemy przed ojcem, pobłogosławi nas... a potem, pójdziem do stopni ołtarza. I będzie sute wesele, ludzi jak mrowia, a każdy będzie mi go zazdrościł, ale ja się nie boję, on już mój... mój na wieki wieków!... zostanie jego żoną... Szwedzką!... Ha! ha! ha! rozśmiała się dziko, Szwedzką!...

Precz! precz! — ja ciebie nie chcę!... nie pójdę za ciebie!... O Boże... cóż powiedziałem, ja pójdę z tobą, mój kochanku!... będę ci posłuszną, będę — idę!...

Chciała powstać — to wysilenie przemogło jej siły, z głuchym jękiem padła na posadzkę.

Przyjdźmy teraz do komnaty przeznaczonej dla posłów Radziwiłła.

Na bogato rzeźbionem łożu, leży uśpiony młodzian. Piękne białe włosy, wiją się w puklach do koła głowy, otaczając niby aureolą twarz śpiącego. Usta małe, różowe złożone w uśmiech, zda się prosić o pocałunek lub chwilę rozkoszy.

Lampa zawieszona u sufitu słabym oświeca go blaskiem.

To Jan Włodek.

W wezłowiach łóżka na poduszce ze srebrnej lamy, siedzi Jerzy, a wielkie błękitne jego oko spoczywa na twarzy śpiącego. Ręką pociera czoło, jakby chciał odpędzić złowieszcze myśli, piersi wzdyma ciężki oddech.

Powstał.

Żegnaj cię Janie! zawołał, składając pocałunek na ustach śpiącego, żegnaj cię... bądź szczęśliwy! Wszakże ja odstępuję ci mego szczęścia — kochasz Hannę i ja ją kocham!... Ale bądź spokojny, ta tajemnica spocznie w mem sercu jak w grobie. Chociażbym ją posiadał, co za życie? — co za rozkosz? gdy ciągle widziałbym twój obraz — gdy ciągle słyszałbym cię wyrzucającego mi na oczy zdradę. Wszakże ja poprzysiągłem ci przyjaźń — przyrzekłem dzielić się ostatnim kęsem chleba, ostatnim szczerbem miecza!...

Nie chcę Hanny!...

Postąpił ku drzwiom.

— A gdyby raz jeszcze ją obaczyć?!

Nie! ona nie dla mnie! to kochanka tego, któremu wieczną poprzysiągłem przyjaźń!

Spuścił przyłbicę, raz jeszcze spojrzął na piękną twarz śpiącego przyjaciela, zagaszył lampę i wyszedł z komnaty, zimny, spokojny.

Maż przytłumił burzę serca.

Na dziedzińcu spotkał go Barnaba.

— Barnabo? zapytał, czy Szwedzi pilnują teraz wąwozu?...

— Ech gdzietam, rzekł kiwając głową Barnaba, gorzej jeszcze jak wprzód, bo nikt w nim teraz nie stoi. Widno te pogany nigdy się rozumu nie nauczą...

Obejrzał się dokończywszy tych słów — Jerzego już nie było.

— Gdzieś mu pilno? rzekł, pytał się o wąwóz — czyżby miał ochotę jeszcze raz kapać się w Świsłoczy. Na to nie pozwolę...

I staruszek pobiegł do wschodniej baszty.

— Słuchaj kumie? zapytał Szymona, nie przechodził tędy rotmistrz.

— W tej chwili, odpowiedział Szymon, otwierałem mu bramę. Mówił że idzie z rozkazami JW. kasztelana.

Barnaba pokręcił głową, jakby niedowierzając i zwrócił się powoli ku zamkowi.

Jerzy przez ten czas, przeprowadzał się po stromych ścianach wąwozu, jedną tylko rękę bo w drugiej trzymał rusznicę, torując sobie drogę.

Poszedł do rzeki nie spotkawszy nikogo. Minał miejsce przez które przeprowadzał się idąc do zamku raz pierwszy i postąpił może kilkadziesiąt kroków.

Świsłocz była bardzo płytka, przeszedł ją mając wody zaledwie po kostki.

Wszedł w głąb lasu.

O kilkanaście kroków ujrzał Szweda na koniu stojącego nieruchomie. Przystanął, podniósł strzelbę do wysokości głowy — ogień błysnął. Szwed martwy zwałił się

na ziemię. Koń przestraszony, parsknął i rzucił się w bok.

— Ida! zawołał Jerzy.

Lskniąca czarna klacz, z rozpuszczoną grzywą, rozdętem nozdrzem lotem błyskawicy sunęła do niego. Poznana głos dawnego pana, była to bowiem ta, którą zostawił Jerzy gdy z Janem i z Barnabą, przeprowiał się przez rzekę. Klacz poczęła lizać jego ręce, i twarz, jakby szukała dawnej pieśczoży.

Jerzy wskoczył na siodło.

— Dalej! zawołał i uderzył ostrogą w bok szlachetnego zwierza.

Ida jakby poczuła niebezpieczeństwo, jak strzała pobiegła w las — wkrótce znikła w jego gęstwinie.

— Dzwony zamkowej kaplicy — biją na trwoę Hanna umiera.

W koło jej łoża klęczą: kasztelan, Szymon i grono służebnic.

Twarz kasztelana blada, usta drżące szepeją modlitwę, siwy włos w nieładzie rozrzucony na żółtej skroni.

Hanna dała znak — służebne oddaliły się.

Wyciągnęła rękę do ojca.

— Tu mój ojczy, do mnie, mówiła wolno, ogrzeź mnie swem tchnieniem, zwilż usta pocałunkiem. Mnie tak tęskno i boleśnie, mnie żal umierać. Ale pocóż mnie żyć, świat nie dla mnie, tylko grób... grób!...

Kasztelan zbliżył się do łoża i głowę Hanny wsparł na swej piersi — Szymon łkał.

— Ojczy... mówiła dalej Hanna, już czas, abyś się dowiedział tajemnicy, którą kryłam przed tobą... może to źle i Bóg mnie za to karze...

Czy pomnisz ojeze tego Szweda, co tu był w zamku?... ja go... ko...chałam, nad ciebie... nad życie! Ale on Szwed, mój ojeze, prawda, on nie dla mnie? I cóż — ścisnęłyby moją rękę, a na niej zostawiłyby krew... łzy matek, żon — sióstr ściagały by mnie przekleństwem. Wyrzekłam się go ojeze! nie... dziewicy ciężko było wymówić ostatnie wyrazy, nie... kocham go już...

Podniosła głowę i krwawym wzrokiem powiodła do koła.

— Nie, nie wierz mi, zawołała, ja skłamałam... ja go zawsze kocham... Czy ty mnie kochasz ojeze?... zapytała.

Kasztelan nie mógł odpowiedzieć, łzy stłumiły mu mowę.

— Tak... wyjąkał.

— A więc, rzekła Hanna, — i promyk nadziei odbił się w pięknym oku — biegnij do niego, powiedz, że go kocham, niech zostanie Polakiem, moim mężem twoim synem...

— Biedne dziecko sądziło że dosyć chceć, by być Polakiem.

— No idź, rzekła odpychając zlekka kasztelana, ja wstanę, patrz, już nie jestem chora, pójdę się ubrać w ślubny wianek, białą wstążkę... pójdę...

Podniosła głowę, westchnęła ciężko — życie uleciało z tym jękiem.

Kasztelan rzucił się na ciało córki, oblewał łzami. — Szymon gryzł wściekle marmur posadzki.

Nagle kasztelan rzucił trupa — obrócił się do niego

— Gdzie on jest? ten Szwed, zabójca mojej Hanny! krzyknął.

— Już nie żyje — odpowiedział Szymon.

Salę rycerską czarno przybrano, na środku otoczona gronem jarzących świec, leży Hanna — w złotem obitej trumnie. U stopni ołtarza stojącego w głębi sali, klęczy kasztelan i rozpalone czoło kładzie na zimnych głazach marmuru. Nic nie widzi, nie słyszy co się w koło niego dzieje. Usta szepczą modlitwę, ale usta tylko, serce śpi na krwawem łożu boleści.

Wsparty o katafalek, nieruchomy, z osłupiałem okiem, stoi Jan.

O czém myśli? zaiste trudno spojrzeć tam w myśl i serce, w takim ono pogrążone chaosie.

Wszystko cokolwiek ukochał na świecie, co było dlań najświętszego, widział zdruzgotane tak okrutnie igrzyskiem losu. Przyjaciel, którego kochał jak ojca i brata, jedyna pomoc i opieka, opuścił go nagle. Hanna w której ręce złożył duszę i serce, na której uczuciu budował wszystkie gmachy przyszłości i szczęścia... umarła.

Bóg ciężko dotknął grzesznika.

Westchnienie rozdarło mu piersi — drugie podobne u stopni ołtarza dało się słyszeć.

Obrócił oczy — ujrzał kasztelana, który także wpa-trywał się w twarz jego.

Chwilę krzyżowały się ich spojrzenia.

Kasztelan powstał — blady jak widmo z iskrzącem okiem, z sinią twarzą.

— Kto jesteś! zapytał młodzieńca, postępując krokiem.

— Jestem ten, który kochał twą córkę, odpowiedział Jan.

— Ty! zawołał kasztelan, ty!

— Tak ja...

Kasztelan cofnął się wstecz.

— Szymon mówił, że go zamordował. Czyś ty duch, pytał lekliwie, a wyraz jego głosu wyrażał dziwne obłąkanie, — czyś przybył z tamtego świata, urągać mojej bole-

ści? Patrz — oto dzieło twoje, moje dziecko umarło. Precz! precz! z oczu moich, nikczemny — przeklinam cię morderco!...

Nie mógł więcej wydobyć słów, ciężar gniótł piersi.

— Wyjdź! zawołał po chwili, groźniej jeszcze, nie kalaj tego miejsca!!...

Jan zwiesił głowę i oddalił się powoli.

Nie rozumiał treści słów kasztelana, ale w ich związku nic dobrego dla siebie dopatrzeć nie mógł.

Stał na progu sali i drzwi zamknął, bez myśli, wiedzy i woli, jak automat podległy sile stalowej sprężyny.

Rozbudził go głos, brzmiący jak trąba ostatecznego sądu: Szwedzi na murach!!...

Podczas gdy nad zamkiem śmierć rozpostarła skrzydła żaloby, Wittemberg nie próżnował w obozie. Sprowadził działa, prochy, kule, zwoził żywność; palił i rabował sąsiednie wsie. Dowiedziawszy się o stanie obleżonych, postanowił korzystać z niego i ciemnej nocy — ruszył do szturm.

Mury źle były strzeżone, Szwedzi już je zalegli. — Napróżno Szymon silnemi ramionami usiłował zepchnąć pierwszego co się wdarł na nie: Szwed prawda wpadł w fosę, lecz miejsce jego zajmowały tysiące.

Wittembergowi przyszły posiłki.

Kasztelana uszów nie doszedł ten ruch, gwar i hałas. Nikt nie śmiał go oderwać od ciała córki — boleść piętnuje majestatem wielkości.

Włodek poskoczył na mury — wruciła mu przytomność; już było za późno... Szwed spędził załogę i jak fala rozhukanego morza zalewał zamek.

Gdy nagle od strony obozu usłyszano strzał armatni, chorągwie rozwinęły się w powietrzu — Radziwiłł nadszedł.

Obudziło się na ten widok męstwo w garstce rycerzy obłożonych, chwytano znowu miecze i topiono w piersiach Szwedów.

Straszna bitwa trwała noc całą, —
Radziwiłł został zwycięzcą.

W komnacie, w której widzieliśmy uśpionego Jana, siedzą dwaj ludzie. Jeden z nich w sukni zakonnej — twarz ma zakrytą kapturem. Drugi klęczy przy jego stopach — usta nachylił do jego ucha — wyznaje grzechy przed majestatem Boga.

Długie — długie godziny trwała spowiedź.

Klęczący powstał.

— Tak, mój ojcze, rzekł z silnem postanowieniem — wstępuję do klasztoru. Bóg miłosierny może da się przebłagać.

Zakonnik odkrył kaptur.

— Jerzy! zawołał pokutnik.

— Tak Janie, rzekł kapłan, tuląc rękę młodzieńca do ust, to ja. Bóg związał nas podwójnemi śluby — i chyba już nic nie zdoła nas rozłączyć — dotrzymamy wspólnej przysięgi.

Epilog.

W kilka tygodni po opowiedzianych wypadkach, goniec królewski stanął pod murami zamku kasztelana.

Szymon — blady, skurczony, posiwiwały przez krótki przeciąg czasu — otworzył mu bramę.

— Czego chcecie? zapytał drżącym głosem.

— Mówić z kasztelanem — jestem posłańcem króla. Szymon wyciągnął rękę, wskazując ku kaplicy zamkowej.

— Tam, rzekł z odcieniem sztywnej boleści, w grobach familijnych, leży kasztelan, idź — i oddaj mu pisma królewskie. On już żadnej nie potrzebuje chwały — bo ma niebieską!...

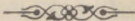
.

KONIEC.

ADRYAN BROOR.**(Szkic Historyczny).****OSOBY USTĘPU I.**

Adryan Broor.
Matka Adryana.
Samuel syn bogatego kupca.
Hals malarz.
Kukułka.

Rzecz dzieje się w okolicach Antwerpii.



USTĘP I.

Ranek. Dolina zastana kobiercem łąk, okolona wiankiem gór. — Przez jej środek przepływa strumień. Słońce wschodzi — pierwsze jego promienie pozłacają gór szczyty. Pomiędzy niemi chata drewniana, ocieniona starami wierzbami — dalej kurchan — krzyż prosty drewniany na jego szczycie. — Przed chatą siedzi Adryan i Samuel. Pierwszy ma lat około 13. Układa bukiet kwiatów, i śpiewa. Nie opodal Samuel rokiem młodszy patrzy nu robotę towarzysza, i z zajęciem słucha jego piosnek. Nuta tych pieśni smutna, i tęskna.

ADRYAN.

Zbierałem kwiatki,
Róże, powoje, —
Okienka chatki,
Niemi przystroję.
Uwiję wianek
Piękny a duży
Z mchu, macierzanek,
Lilii i róży

(bierze jedną różę i wplata.

Oto właśnie ta róża,
Rankiem jeszcze dziś rosła,
I zerwała ją burza
Do rąk moich przyniosła.

(z współzuciem szczególnym spogląda na nią)

Wczoraj cię pieścił kraśny motylek,
Roślaś z nim nadzieje,
Dziś — umrzesz za kilka chwilek,
Jak zmienne losu koleje...
Wiatr kołysał listeczki,
Słoneczko ci się śmiało —

Zazdrościły kwiateczki —
Dziś — cóż się z tobą stało? —

(smutno)

Zmienne losu koleje

(kładzie kwiaty)

SAMUEL.

Ty ciągle śpiewasz przeróżne piosneczki,
A wszystkie tęskne — jakby za pokutę —
Kto cię ich uczył — czy wiejskie dzieweczki?
One śpiewają na weselszą nutę

ADRYAN.

Kto mnie nauczył braciszku kochany?

(powstaje skłania głowę na piersi)

Ot gwiazdka mała — i wietrzyk poranny,

Czasem kwiatusek na łące schowany,

I drobne ptasze w klateczce druciannej.

Kiedy wieczorem wyjdę na próg chatki,

W koło mnie cicho posepnie, i głucho

W trawie ukryte szeptają coś kwiatki,

Ja przy nich siadam, i nadstawiam ucho

I kwiatek każdy piosenkę mi śpiewa

Od lipy wielkiej — niezabudki małej.

Polna różyczka w sukieneczce białej

Wonna i drżąca — ona się spodziewa

Że za minut kilka

Zobaczy motylka!

Piękna nadzieją a kochankiem blada,

O swej miłości, piosnkę mi powiada

Lecz darmo czeka — kochanek skrzydlaty

Gdzieś tam dó innej umizga się dziewy,

Zalotnik biega w koło naszej chaty,

Ogląda kwiatki, rośliny, i krzewy —
 Oczkami inna wabi go dziewczyna,
 O biednej róży całkiem zapomina....
 Ona przedemną wylewa swe żale
 W czyściuchnej łezce — mówią że to rosa,
 Nie wierz braciszku, nie wierz temu wcale,
 To łzy — nie woda, co sięją niebiosą.
 I o boleści swojej mi powiada —
 A piosnkę kończy jednym słowem: zdrada!...
 W tem wiatr tumanem zasypie jej usta —
 Listeczki porwie, — zanieśie daleko —
 Z kwiatka została się szypułka pusta,
 Jak nagi szkielet z rozwartą powieką!...
 Smutna jej piosnka....

(ustaje chwilę)

To znów ptaszek mały —
 Ukryty w listkach szerokich kaliny,
 Chociaż zalotny, lecz w kochaniu stały,
 Śpiewa mi piosnkę do swojej dziewczyny.
 Ustaje nagle — w gardziółku drżą nuty
 Bezwładnym skrzydłem o gałąź trzepocze,
 Pragnąłby wzlecić — i trwogą przykuty,
 Daremną próbą siły swe kłopotce.
 Nad gniazdkiem jego buja siwo pióry
 Orzeł — król wichrów i posłannik chmury.
 Spada na gniazdko, i wraz krwawe szpony
 Topi w nim — matkę i dzieci zabija;
 Ptaszek się zerwał, staje do obrony,
 Do głowy orła przypił się jak żmija —
 Daremnie... pada krwią dzieci oblany,
 Z piersi jęk wydał — jęk niezapomniany,
 Jakiego żadne pióro ani dłuto —
 Nie odda — życie ubiegło z tą nutą!...
 I ta pieśń smutna.....

(podnosi głowę spostrzega łzy w oczach Samuela, bierze jego rękę i przyciska do ust)

Co ci jest Samuelu? — jesteś chmurny blady,
 Plakałeś? na twych oczach spostrzegam łez ślady —
 Czy tobie kto dokuczył?.....

(podnosi dumnie czoło)

Rozbiję mu głowę!...

SAMUEL.

Nie braciszku — ja tylko na twą smutną mowę
 Zapłakałem boleśnie.....

ADRYAN.

Oj dziecie — ty dziecie!...

To widziadła, marzenia — marzenia jak we śnie,
 Sen różne dziwy (ciszej) czasem prawdę plecie —
 I dla tego masz płakać braciszku boleśnie?....
 Już nigdy nie powiem — Czy ty nie wiesz jeszcze
 Ja cię kocham braciszku!.....

Gdy wybiegnę w góry

Z tobą — lub kiedy na rękach cię pieszczę,
 Zda mi się, żem ptak lotny i bujam nad chmury —
 Słowik weselej śpiewa, i kwiatek się śmieje —
 I góry przed mym wzrokiem drżą z swojej posady;
 A kiedy brak mi ciebie — to tracę nadzieję
 Jestem cierpieniem chmurny, i boleścią blady —
 I świat taki pochmurny, i niebo zamglone,
 Kwiatki płaczą — a łzy ich jako krew czerwone —
 Ja nie wiem co to znaczy — przecież tak się dzieje —
 Ja ciebie bardzo kocham. — Chciałbym na wiek wieki
 Zostać w chatynce mojej z tobą i z kwiatkami —
 Prócz nich nikogo więcej nie chcę między nami,
 Pragnę z tobą żyć tylko — i zamknąć powieki
 Na twej piersi — wszak prawda że miłe nadzieje?

(patrzy mu w oczy)

A ty chciałbyś tak ze mną zostać przyjacielu?...

SAMUEL (rzuca mu się na szyję)

Na wieki wieków z tobą!...

MATKA (z chatki)

Panie Samuelu!.....

(Samuel przybiega do niej)

(Adryan spostrzega Halsę idącego — bierze go za rękę i prowadzi do chaty na której próg wychodzi Matka i Samuel)

ADRYAN.

Wiodę ci gościa mamó....

MATKA.

Prosimy (witają się Samuel i Adryan odchodzą na stronę — Hals i Matka siadają na ławie przed chatą)

HALS.

Przychodzę ci z pomocą, bo mi powiedziano
 Żeś uboga. — Ot właśnie przechadząc dziś rano,
 Widziałem kwiatek ręką twego syna
 Malowany — ja malarz — wezmę go do siebie
 Dam za to chleba kawał — wygodę dla ciebie —
 Czy zgoda moja Pani?...

MATKA (porywa go za rękę)

O! weź weź go Panie

Tyś dobry, jemu lepiej tam będzie u ciebie,
 Bo — przynajmniej głodnemu chleb się tam dostanie,
 A Pan Bóg za twą dobroć odplaci ci w niebie —

HALS (uradowany do siebie)

No — no — na mej litości nie poniosę straty
 Za każdy grosz wydany wrócą się dukaty!....
 (pociera ręce)

ADRYAN (przybiega do matki i wsuwa jej w rękę
pare zwiędłych listków kwiatu)

Mateczko schowaj te listeczki róży,
Miałem ci dać kwiat cały — listeczki opadły
W rękach — wiatr psotnik rozniósł je po błoni,
A i te co zostały, cierpieniem pobladły,
Twoja pierś je ogrzeje i cierpień ochroni....
odchodzi.

MATKA (ściska w rękach listki i rzuca (do Halsa)

Panie — za nim go weźmiesz musisz poznać przecie,
A powiadam ci dziwne — dziwne to jest dziecko —
Dobre — ciche — potulne — przecież za me grzechy
Pan Bóg żadnej mi z niego nie dał dziś pociechy.

Za ciasno mu w tej chacie —

Dzień cały biega w górach, i goni ptaszęta —
Lub kwiaty rwie. Wieczorem w pokrwawionej szacie
Wraca i z płaczem do mnie wyciąga rączęta —
Powiada: Mamo ratuj liliję, albo różę —
Lub ptasze w gniazdku, lub gwiazdkę na niebie —
Wiatr szumi w górach pewno niesie burzę —
Gdzie się skryją ptaszęta — kwiateczki? — u ciebie.
Pod dachem naszej chaty. I za rękę chwytą
I prowadzi w bezdroża, gdzie lilija rozkwita.
Każe ją rwać z korzeniem, i zachować w chatce —
A gdy lilija uwiednie — płacze, jak kochanki,
Chowają i na grobie sypie jej kurchanki —
A nie wie że tem serce rozdziera swej matce!...
I tak to życie całe dziwnie mu się plecie —
Że mnie tego nie pojąć, mnie prostej kobiecie —
On maluje obrazki — ja prosta kobieta — (płacze).

HALS.

To waryat moja pani — jeśli chcesz — poeta! —

KUKULKA (na gałązce jaworu w bliskości
śpiewa do niej;

Nie płacz matko!...

Jest jedno ptasze między ptaszkami
Co płacze pieśnią jak człowiek łzami —
Słowikiem się zwie!...

Jest człowiek jeden zmarły dla świata
Wieniec męczeński skroń mu oplata.

Poetą się zwie!....

Człowieka ptasze karami duch Boży
Musi ten śpiewać kogo tak stworzy —
Nie płacz matko nie!...

Darmo chcieć zmienić Boże wyroki
Pan już ich wezwał między proroki
I dla ich pieśni dał świat szeroki. —
Nikt ich nie pojmie nikt nie zrozumie
Nikt łez boleści otrzeć nie umie,

Źle im tu źle!...

Lecz gdy godzina śmierci wybije
Prorok męczeństwa Bogiem ożyje
Więc nie płacz matko dziecięcia, nie!....

USTĘP II.

*Mała stancyjka na poddaszu. Stalugi — pędzle — palety porozrzu-
cane w nieładzie. Adryan klęczy w jednym rogu izby — modli się.*

ADRYAN (powstaje z kolan)

Ja czuję że gdy cierpię to modlić się muszę —
Modlitwa mnie pokrzepia — O! Tyś wielki Boże —

Słowa prośby do Ciebie posilają duszę —
 Szczęśliwy! ten szczęśliwy! kto modlić się może!...
 A! różne są modlitwy, jak różne sumienia;
 Jeden prosi o tytuł, znaczenie, dostatki
 Ale z nich najpiękniejsza modlitwa natchnienia —

(ciszej)

Taką modli się prorok — i modlą się dziatki....

(zakłada ręce na piersi i staje przed stalugami na których rozpięte
 pare wykończonych obrazów)

Jam prosił o natchnienie? czyż mi brak natchnienia?

Ono piersi rozrywa, mózg przewraca w głowie —

Serce dziwnym urokiem chwały opromienia —

A oddać go nie mogę w czynie ani słowie!...

Ono spi w głębi piersi! — (uderza ręką po sercu)

Ztąd — ztąd się wyrywa,

A gdy chwytam za pędzel, chcę wylać na płótno,

Te postacie co tu spią (pokazuje na serce)

Myśl co tu spoczywa,

Jakaś spaczona, dziwna, wygląda tak smutno,

Jak nagi suchy szkielet....

(kładzie rękę na jeden obraz)

O! gdzież twoje ciało!

Gdzie wy duchy pieszczone wyobraźni mojej!...

W drodze z piersi na płótno wszystko z Was zleciało.

(pieszczotliwie)

Dzieci kochane moje! — moje ideały!...

Czyż brak Wam życia jeszcze — brak piękna i siły!...

Wszakżeście życie Wasze z mojej piersi ssali —

Czyż ono w Was zamarło a szaty pogniły!?

Ja życie moje całe przełamałam w Was dzieci —

Każden rys formy waszój to jeden rok życia —

I gdy nareście na jaw wynijdzie z ukrycia

Zamiast widzieć aniołów, widzę troche śmieci,

(podnosi głowę, rękę przyciska piersi)

Ach! gdybym mógł Was dobyć z piersi nieskalane —
 Wielkie marzeń potęgą — natchnieniem promieni
 Czyste, bo z złota myśli czystego ulane —
 Wieczne, bo geniuszem wieczności brzemienne —
 Gdybym mógł was tak całe zatrzymać na płótnie
 I ożywić Was duchem a natchnieniem wskrzesić —
 To bym pokruszył pędzel, jak śpiewak swą lutnię
 I umarł!... bo już więcej nie umiałbym zgrzeszyć.
 Boże! i gdzież ta siła, co z nicstwa tworzy,
 Z nicstwa myśl wieczności, z prochów sama siebie,
 Jak nieśmiertelny feniks!

A nią jest duch Boży

A ta siła! ta siła! gdzie ona jest — w niebie!
 Po coś mnie stworzył Panie, kiedy duch mój cały
 Obdarzony wielkością — chryzmem namaszczoney
 Zamknąłeś w piersi tylko i tam niewzruszoney
 Spać musi wiecznie — czemu? — bo człowiek tak mały —
 A Bóg taki potężny!....

Gdyby z piersi progu

Ten duch wydarł się na świat — światy by zdrząły —
 I człowiek — proch! nicstwo! byłby równym Bogu.
 Czemu wlałeś go w piersi — gdzie jak serce w dzwonie
 Uderza wielkim głosem — pierś mu odpowiada
 Bo pusta — i głos cichnie jak w pękniętej strunie —
 A pierś wiecznie zamknięta — wiecznie trwogą blada...
 Wiecznie w niej tylko echo tętni uderzenia,
 A — tej dzwonu skorupy przebić nie jest w stanie —
 Boli! i dźwięk jej każdy zostawia wspomnienie, —
 O! daj jej siłę twórczą — daj! o panie — panie!...

(bierze pędzel i pociąga nim kilka razy rzuca z gniewem)

Nie! to nie to — to nie to! (z rozpaczą pokazuje na piersi)
 tutaj wszystko żyje!...

Czemu na jaw wychodzi tak podłe, niekzemne,

Bo ludzki wzrok zatruty, i przed wzrokiem zgnije
 Tam, kiedy jeszcze piersi noszą je brzemienne;
 I w piersiach pozostawia swąd martwy i głuchy,
 Wielkiego trupa myśli na marzeń pustyni —
 A po nim skaczą jadem brzemienne ropuchy,
 Każda cząsteczkę pożre i jadem oślini —
 (dobywa obrazek ukryty na piersiach, przypatruje mu się z miłością)
 Tu całe życie, moje natchnienie się złało,
 Tu wyszła myśl zupełna, przystrojona w ciało —
 To mój kochanek.... (wstrząsa głową)
 Dziwnie! dziwnie! na tem świecie
 Ludzie miłość pojmują — całe swoje serce
 Siłę marzeń i ducha oddają kobiecie
 To nie miłość, co tylko w jednej tli iskierce!...
 Kto ją skaże dotknięciem — lub oddechem zbrudzi,
 Ten nie wie co to miłość — ten kochać nie może —
 Ten oszukuje siebie; — a i któryż z ludzi
 Nie zbrudził swej kochanki? — Tylko Ty o Boże!...
 O! ja kocham inaczej — mnie nie ciała trzeba,
 Nie chcę mętów rokoszy, pragnę ducha tylko,
 Ducha, którego cząstkę człowiek wziął od nieba —
 To rokosz wieczna, ciągła — przy niej tamta chwilką!...
 To kwiat czysty a święty, nieskalany błotem
 Głupich idei ludzkich. On wonią napawa
 Duszę — jak skapiec jaki wór napycha złotem —
 Wór — to jest ciało nasze — złoto — miłość! sława! —

HALS (wchodzi)

Coś zrobił Adryanie? — (ogląda obrazy)

Cóż to za klejonki —

Obrazki fantastyczne bez rysów i barwy,

Owoce idealnej, bezrozumnej mrzonki —

Bohaterka obrazu podobna do larwy —

Porzuć to raz do licha. Za kawałek chleba

Którędn daje ci z łaski — pracować potrzeba —
A te bzdurstwa szeląga nie warte....

(zabiera obrazy.)

ADRYAN (wyciąga rękę)

O Panie!

One dla mnie świat marzeń, nadziei stworzyły —

One połowę życia i krwi mej wypily,

Pójdą w ręce handlarza — Cóż się z niemi stanie?

Jaki żyd je nad łóżem swój córki przybije...

A czas je błotem, kurzem i pleśnią okryje! —

Panie! litości nie masz! (klęka)

Wydrzesz matce dziecie

Niemowlątko maleńkie — mniej zadasz cierpienia,

Jak kiedy dziecie ducha wydzierasz poecie!...

Kto zrobić to potrafi — ten nie ma sumienia...

(składa ręce)

O! zostaw mi je, zostaw! niechaj się napieszczę

Widokiem tych obrazków — ja cały w nich żyje! —

Ja ich na sercu mojem utulę — umieszczę...

Panie! kto dzieło weźmie, ten Twórcę zabije!...

One tam pomrą w pyle — zostaw mi ich panie!...

HALS (chowa w tył obrazy)

Nie bierz?... i cóż to znaczy mości Adryanie?

Kupiłem twoją pracę — zapłaciłem matce,

Jeżeli ich nie oddasz — wypędzę ją z domu,

Pójdzie żebrać pod progiem. — Chatka i co w chatce

Jej to wszystko jest moje — chcesz uniknąć sromu —

Oddaj mi te obrazy!...

ADRYAN (powstaje)

Bierz je litościwy

Handlarzu dusz... lecz pomnij, że Pan Bóg jest mściwy.

(Hals wychodzi i drzwi na klucz zamyka, w sieni spotyka handlarza obrazów).

PRZEKUPIEŃ.

Pokażże te obrazy (ogląda) bazgroty dziecinne,
Możesz je sobie panie zachować na potem —
Albo zresztą je wezmę — każ mu robić inne,
Nie takie fantastyczne — (wskazuje oczami obrazy)

Wiele?...

Sto dukatów złotem....

PRZEKUPIEŃ.

Ha! to trochę za wiele — ale głowa w głowę
Natychmiast Ci wyliczę tej summy połowę.

HALS.

Zgoda! (podają sobie ręce)

Dziwny to dzieciak, który je maluje
Pieści się z niemi — cacka — jak z dziećmi, całuje —
Wszak i ja malarz jestem — a uczuć zaleta
Obca sercu mojemu....

PRZEKUPIEŃ (kiwa głową).

To malarz poeta! (rozchodzą się).

ADRYAN.

Zabrał mi te obrazy! czyliż będę w stanie
Stworzyć inne? pierś gore, lecz ręka omdlewa —
Siły się wyczerpały — o panie mój panie!
Ratuj! dusza twej łaski jeszcze się spodziewa,
Daj mi jeszcze natchnienie!....

(dobywa znowu obrazka z piersi, klęka, przyciska go do ust)

Słowiku mój mały!

Kochanku duszy mojej, nieznany dla świata —

Ty mnie wesprzyj! tyś życie — tyś geniusz mój cały —
 Ja tobą tworzę — żyję — za tobą ulata
 Natchnienie! owo piękne mojej duszy dziecko?
 Czy ty mnie kochasz?!

Może — a może w tej chwili
 Swoje serce, twarz, usta, oddałeś kobiecie —
 Tak, bo świat byłby rajem — w niebie byśmy żyli,
 Gdyby było inaczej

JEDEN z PRZYJACIÓŁ (za oknem).

Pójdźno Adryanie!...

Wyjrzyj do nas okienkiem, albo wyjdź do sieni,
 Przychodzimy Cię prosić na ślubne śniadanie —
 Samuel ciebie prosi — bo dzisiaj się żeni....

ADRYAN.

Boże! (chwyta się za głowę)
 Nie! nie powinien wiedzieć, że ja płaczę łzami
 Krwawej boleści mojej... (wychyla się przez okno)
 Bracia idę z wami...

(wyskakuje).

Na ulicy

(Noc — Samuel stoi ubrany do ślubu, Adryan klęczy przed nim).

ADRYAN.

O! jam Cię tak ukochał, jak żadna kobieta —
 Nad Boga świat i ludzi!... Nie żęń się mój bracie
 Ja skonom! a śmierć taka przed Bogiem zaleta —
 O kochaj mnie! o kochaj!...

SAMUEL (wzrusza ramionami).

Waryacie! waryacie!

OSOBY:

Rubens.

Adryjan.

Kilku przyjaciół Adryana.

USTĘP III.

Upływa lat kilka.

Szynk. Wieczór, kaganiec pali się u sufitu — stół długi, około niego siedzi kilku podpitych mieszczan — w środku Adryjan smutny, zamysłony, suknia jego poplamiona, włosy w nieładzie, twarz zgorączkowana napojem. Na stole kufle gorzałki, miodu i wina.

JEDEN Z OBECNYCH (podnosi kielich)

Hej Adryanie co siedzisz jak sowa —
 Jak posmutniały? Dalej do kielicha
 Niechaj brzemienna frasunkami głowa
 Za kielich wzięwszy frasunek odpycha.

ADRYAN (budzi się z zamyslenia)

Pić!... pić!... ja pragnę! Dajcie dzban miodu!

Ogień mnie pali!... (porywa kielich)

Ot tak to przecie!...

Człowiek zapomni o bożem świetle!...

(rzuca kielich, podnosi się, upada znowu)

Å! do ogrodu

Jakiegoś wszedłem!... Ach! co za kwiaty,

Jakiejże barwy — i jakiej woni!

Kłomby jak cudne lśnią się makaty —

Na jego ślubie omdlał trzy razy,
 I jak szalony tarzał się w prochu,
 My by uniknąć Boskiej obrazy
 Za drzwi wynieśli.... i tam po prochu
 Przyszedł do zmysłów. — Odtąd kielicha
 Z rąk nie wypuszcza, ciągle pijany
 Śmieje się, płacze, modli i wzdycha!....
 (śmieje się szyderczo.)

RUBENS.

O! on nie grzechem — bólem zmazany
 Pan Bóg mu piekło dał tu na ziemi —
 Lecz nie płacz duchu — boś ty wybrany!...
 (do obecnych.)

Weźcie go do mnie....
 (wynoszą za Rubensem śpiącego ciągle Adryana).

Na wzgórzach pauzy lipu. *)

Nademną światłość blada płynęła księżycą —
 Woń pomarańcz spragniona pierś skwapliwie. chwyta,
 Z fal morskich u stóp moich Neapol wykwita —
 Jak z turkusów kołuski zbudzona dziewica.
 Cudnie tu! a przecz czemu dusza ma w żałobie?
 Czego me oczy tęskno szukają w przestrzeni?
 Rodziny! Ach! jej obraz tam z wieczornych cieni
 Cieniem wykwita — oczy spoczęły na grobie!....

KONWALIA.

Śliczny był wieczór wiosny majowy
 Słoneczko złote w zwój koralowy
 Chmur — kryło zwolna promienne lica,
 Aż zeszło całkiem z krańca zenitu,
 I na przejrzyste morze błękitu
 Wpłynęła blada światłość księżycą. —
 I my tak stali — drżący oboje —
 Ona w szat białych ukryta zwoje, —
 W koło nas kwiatów wonne kielichy —
 Nad nami gwiazdy — ziemia pod nami
 Srebrna wieczornej rosy perlami —
 I tchnienia nocy szept smętny cichy. —
 Ona do ust mych usta tuliła —
 Odjeżdżasz luby — jadę o miła —

*) Miejsce przechadzki w Neapolu.

Ale lży po co, po co westchnienia
 My będziemy razem wiecznie oboje
 Jak lutni jednej dźwięków nastroje
 Jak duszy jednej słodkie marzenia —
 Czyż nas rozdzieli ziemia lub morze —
 Za rok o luba — tu o tej porze —
 Znowu nas serca połączy bicie. —
 Otarła z powiek łezki ostatek
 Z za gorsu drobny dobyła kwiatek
 Cudnej konwalij w samym rozkwicie.
 Ja ten kwiat lubię nad wszystkie kwiaty —
 Weź go pamiątką wspomnień bogaty
 Rychlej powrócisz — żegnaj — bądź zdrowa!...
 I rok się przemknął jak błyskawica
 Dla mnie jak w ręku trupa gromnica —
 I znowu cudna noc księżycowa,
 Też same kwiaty wieczór kołysze
 Też same znaki gwiazdami pisze.
 W pałacu światła iskrzą miliony
 Na druchen głowie z myrtu korony —
 Kapeli hucznej weselne granie
 Pytam służalca co to? — ślub panie. —
 Świat zniknął z oczu — sam bez Omfalij
 Zostałem tylko z kwiatkiem konwalii...

WIANECZEK.

Chciałbym róży do wianeczka,
 Ona szczęście wróży;
 Daj mi dziewczę twe usteczka
 Piękniejsze od róży.
 Chcę fijołka co uroczy

W trawie listki kryje
 Wezmę sobie twoje oczy,
 Które rosa myje.
 A za liliję wonną, — białą
 Dasz twarzyczkę swoją całą
 Do wianeczka mego.

Już uwity — ach jedyna!
 Czemu go przystroję?
 Niczem złoto — blask rubina
 Daj mi serce swoje.
 Luba pytasz mnie nieśmiele
 Co z bukietem zrobię?
 Oto złożę go, aniele!
 Na uczuć mych grobie

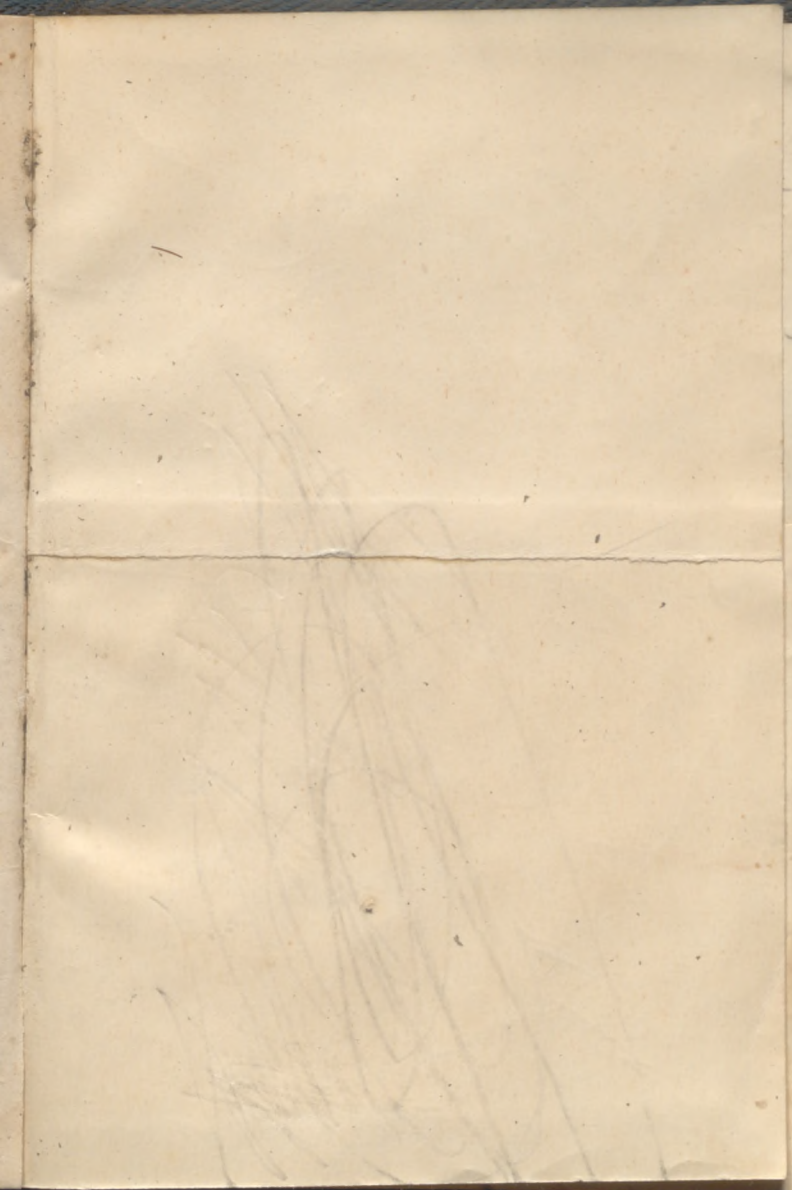
Do mojej gwiazdki.

Gwiazdko natchnienia marzeń mych dziecie
 W kołysce słońca promieni
 Coś ty widziała na bożym świecie
 Na szarej ziemskiej przestrzeni

WSPOMNIENIE CEUTY.

Sam jestem... i noc ze mną gwiazdzista, czarowna
 I czterech majtków niemych... Sternik zaopatrzony
 W gwiazdy... A w dali mowy, żałobne pokrzyki,





Biblioteka Główna UMK



300020951061

302625

3076

3.37/55-

16-

3/12

5518

